

BLUSZCZ

*społeczno-literacki ilustrowany
tygodnik kobiecy*



W a r s z a w a,
S o l e c 87.

"BLUSZCZ"

społeczno-literacki
ilustrowany tygodnik kobiecy

Ś-to Krzyska 17, m. 3, tel. 6-76-72.

W a r s z a w a,
Ś-to Krzyska 17 m. 3.

telefon 2-44-18.

telefon 6-76-72.

Redaktorka naczelna *STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW*.
Dział robót pod kierownictwem *JADWIGI KORZENIOWSKIEJ*
Dodatek „Wychowanie i szkoła” pod kierownictwem *WANDY BORUDZKIEJ*
Redakcja i Administracja: Warszawa — Solec 87, tel. 2-44-18 i 5-87-03.

KLISZE WYKONUJĄ WŁASNE ZAKŁADY FOTO-CHEMIGRAFICZNE.

Treść numeru:

O dobre życie—*N. J.* Poezje: Niepokalane poczęcie—*S. S.* Ave Maria—*J. B. Rychliński*. Pielgrzymka po Nałęczowie—*Wera Tropaczynska*. Echa Poznańskie — *Blanka Kutnerówna*. Gody książęce — *Teodora Drzewiecka*. Z ubiegłego tygodnia — *H. N.* Uczczenie Curie - Skłodowskiej — *S. P. O.* Wychowanie fizyczne i sport: Centralny Instytut Wychowania Fizycznego — *Irena Pawska*. „Krzewimy wśród kobiet kulturę fizyczną” — *H. I.* Z teatrów — *S. P. O.* Z ubiegłego tygodnia — *Stef. H.* Przegląd Prasy. Nasza mównica — *Zofja Zawadzka*. Kobieta w świecie i w domu. Ogrodnictwo i hodowla: Aralja, Zima i kury — *Marja Dąbrowa*. Dom i gospodarstwo: Ryby — *Wanda Dobrzańska*. Przepisy gospodarskie — *Melba*.

WARUNKI PRENUMERATY:

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie—4.50 zł., kwartalnie—13.50 zł., rocznie—54 zł.

Do innych krajów miesięcznie — 5.20 zł. Zmiana adresu — 50 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszcza” — Warszawa, Solec 87 i Świętokrzyska 17 m. 3.

Konto P. K. O. WARSZAWA Nr. 3700.

W y d a w c a : Tow. Wydawnicze „Bluszcza”, Sp. z ogr. odp.

Pracownicy umysłowi korzystają z 20% ustępstwa.

WARUNKI OGŁOSZENIOWE:

	zł.			zł.	
$\frac{1}{1}$ str. tekstu —	700.—	Okladka III-cia	$\frac{1}{1}$ str. okł.—	500.—	Okladka IV-ta
$\frac{1}{2}$ „ „ —	400.—		$\frac{1}{2}$ „ „ —	250.—	
$\frac{1}{4}$ „ „ —	200.—		$\frac{1}{4}$ „ „ —	150.—	
$\frac{1}{8}$ „ „ —	100.—		$\frac{1}{8}$ „ „ —	80.—	
$\frac{1}{16}$ „ „ —	50.—		$\frac{1}{16}$ „ „ —	50.—	
$\frac{1}{32}$ „ „ —	30.—		$\frac{1}{32}$ „ „ —	30.—	
					zł.
					$\frac{1}{1}$ str. okł.—600.—

Przy ogłoszeniach seryjnych prosimy o żądanie ofert.

Ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń w kraju i zagranicą, oraz biuro Tow. Wyd. „Bluszcza” — Warszawa, Solec 87, tel. 6-26-44, 2-44-18 i 5-87-03. Cena artykułów reklamowych w tekście wedle specjalnej umowy.

Tygodnik „BLUSZCZ” ze względu na swoje liczne i szerokie sfery czytelniczek, jest doskonałym organem reklamowym dla wielu artykułów z dziedziny zainteresowań kulturalnej kobiety.

Czytelniczki „BLUSZCZU” powinny nabywać tylko te towary, które zaleca im ich ulubione czasopismo.

Błystki

SPOŁECZNO-LITERACKI
ILUSTROWANY
TYGODNIK KOBIECY

O dobre życie

Z cyklu „Błóczki inteligencji”.

Powiedzieliśmy sobie w kilku artykułach o błóczkach naszej inteligencji sporo gorzkich faktów. Stwierdziliśmy, że inteligencja nasza żyje naogół mizernie, że zamała ma trwałych podstaw materialnych, zamała skromnego choćby, ale *solidnego* dobrobytu, powszechnego w innych krajach u tej sfery ludności, że ma również zamała dążenia do postępu na wielką skalę, prawdziwego rozmachu życiowego. Ot żyje się, aby z dnia na dzień, aby przeżyć, aby było choć coś jako tako, nie najgorzej.

Staraliśmy się również zdać sobie sprawę z przyczyn tego stanu rzeczy, który nigdzie nie byłby pożądanym, a dla nas jest tem gorszy, że mamy do odrobienia dużo straconego czasu, z tych okresów, kiedy inne narody budowały postęp całą parą, a kiedy my mogliśmy żyć istotnie tylko pół oddechem. Stwierdziliśmy dalej, że z tego właśnie okresu, a także i z niektórych poprzednich pozostało nam dużo wad, że jesteśmy ciągle jeszcze arystokratyczni, nie tyle duchem ile pańską fantazją, bez żadnej realnej podstawy, że wpływa stąd wiele naszego snobizmu, lenistwa, różnych wygórowanych pretensyj i życiowego niedołęstwa. Że zachowaliśmy dotychczas jeszcze zbyt wiele nawyków życia na szeroką skalę materialną, co powoduje doszczętny prawie zanik zmysłu oszczędności, a zachowaliśmy zato przyzwyczajenie małych wymogów intelektualnych, co ilustruje najdobitniej stan naszego czytelnictwa, rozchodzenie się pism i książek.

Wszystko to dobre, ale jaka na to rada?

Rzecz zrozumiała, że trudno tu znaleźć jakieś panaceum podane w jednym, a choćby w całym szeregu artykułów. Nikt tego nie może oczekiwać od publicysty, zwracającego uwagę na pewne objawy społeczne, tak, jak i żaden publicysta nie może mieć pretensji uzdrowienia „piórem z gęsi ogona” zadawanych błóczek, wad i układu sił różnych warstw społecznych. Chodzi jednak o zwrócenie uwagi, o poruszenie kwestyj o rzucenie pewnych projektów, które każdy pojedynczo, lub też instytucje i organizacje zbiorowo mogą stosować, wypróbowywać i modyfikując, udoskonalać stopniowo.

Najważniejszą i najpierwszą rzeczą jest sprawa wychowania młodzieży. Może a nawet napewno i my bylibyśmy inni, gdybyśmy wzrosli w normalnych warunkach i wychowali się w normalnej szkole, nie w atmosferze wrogości i odgradzenia od właściwego życia. Trzeba więc dziś tembardziej dawać pełnię tego życia naszym dzieciom. Trzeba jaknajgoręcej zwalczać uprzedzenia rodziców do szkoły powszechnej, bo ta właśnie szkoła najlepiej uczy życia. Nie lękajmy się tak zbyt, że dzieci nasze mogą posłyszeć jakieś słowo brutalniejsze, lub zepsuć sobie salonowe wychowanie. Nic podobnego. Dzisiejsze szkoły powszechne prowadzone są naprawdę wzorowo. Zwiedzajmy je, winni by to robić wszyscy rodzice. Zobaczmy, jak nauczycielstwo wychowuje, jakie te dzieci są kulturalne, jak się zachowują. A z ich uspołecznienia mogłoby wziąć przykład wielu dorosłych. Na każdą rocznicę one pierwsze zwracają się do wychowawców z inicjatywą obchodów, więcej, umieją znaleźć do nich materiał i zużytkować go. Ta największa nieraz biedota. Dzieci inteligencji nic nie tracą na koleżeństwie z tamtymi. Zyskają tylko realne, praktyczne podejście do życia, poszanowanie człowieka bez względu na jego stan społeczny i prawdziwą demokratyzację, a obie strony zyskają i utrwalają w sobie poczucie równości i łączności społecznej, które przyda się w tworzeniu wspólnego życia.

To więc jest najważniejsze, przyszłe pokolenie, młodzież. I starsi jednak mogliby wiele zmienić w sobie. Chodzi najwięcej o zmianę wewnętrzną, o realne podejście do życia, o zdolność indywidualnej i zbiorowej zaradności, o wydobywanie maksimum sił i energii życiowej. Nie o przetrwanie tylko, przeciąganie, jakie takie mizerne „przepychanie” życia z dnia na dzień, ale o budowanie, choćby w trudzie ale z wiarą w jutro i w siebie, z nadzieją lepszej przyszłości. Chodzi o wyłączenie pesymizmu i defetyzmu, który i w czasie pokoju potrafi przynosić nieobliczalne szkody. Chodzi także o dążenie do stworzenia znośnych, kultural-

nych warunków życia. Wiemy, że inteligencja potrafi pracować wydajnie dla państwa i ogółu. Że jesteśmy dobrymi urzędnikami i pracownikami społecznymi. Powinniśmy obok tego zdobyć się i na wysilek postawienia naszego prywatnego życia na właściwym stopniu. Właśnie na *właściwym* i może różnym od dotychczasowego. A więc nie salonu, przyjęcia, „fasonu“ towarzyskiego, wzorowanego od lat na trybie życia sfer najbogatszych, z którymi najczęściej nie, prócz tej dziwacznej tradycji obyczajowej, nie mamy wspólnego, ale na stopniu kultury, higieny, zdrowszych, obszerniejszych mieszkań, dobrej pomocy i opieki lekarskiej, normalnego wypoczynku letniego, szerokiego uprzystępnienia wszelkich rozrywek kulturalnych i umysłowych i dobrych, należnych każdemu pracownikowi, warunków pracy.

W zakresie tych wszystkich, tak ważnych spraw jesteśmy właśnie najbardziej bierni i niezaradni, najwięcej się poddajemy — broń Boże nie czyjejs złej woli, ale ot, niewiadomo kto i jak wiinen, a dzieje się źle.

Mały przykład: kasy chorych. Nikt tam chyba zgóry i z założenia nie chciał źle, ale nie było nigdy dobrze. Narzekali wszyscy, nie zaradził nikt, a przecież główny głos powinni w tej instytucji mieć lekarze, a więc kwiąt inteligencji. Kasy chorych, mogą obejść się bez wielu rzeczy, ale bez lekarzy nie. A lekarze narzekali przez szereg lat na fatalne warunki lecznictwa, na zbyt wielką ilość pacjentów, na krótkość czasu do ich zbadania, na niemożność nawet, (okropność!) stosowania właściwych środków leczniczych, ale nie zdobyto się na energję powiedzenia: — albo, albo — które napewno byłoby poskutkowało. I dopiero teraz, przyciśnięci ostatecznością, zareagowali. A w instytucji, gdzie wyłączny głos mają pracownicy umysłowi, inteligencja? W przychodniach ogólnych kas chorych, obecnych ubezpieczalni społecznych, bywa różnie, ale przynajmniej każdy pacjent, zapisujący się do lekarza, czeka w pokoju, pod dachem. W wspaniałym, ogromnym gmachu zakładu ubezpieczeń pracowników umysłowych izdebka przyjmowania zapisów do lekarzy i dentystów jest tak maleńka, że w godzinach zapisów trzeba czekać na ulicy! Nikt na to przez szereg lat nie zareagował!

Tak już jest, że samo nie się w życiu nie robi, na każdym jego odcinku trzeba walczyć o poprawę, a nie czekać biernie lepszej doli. Narzekamy na brak i drożyznę mieszkań, na fatalne warunki życia w ciasnych pomieszczeniach, ale czy staramy się intensywnie radzić? Póki było więcej pieniędzy i lepsza konjunktura, powkładaliśmy moc tych pieniędzy w różne spółdzielnie, których nikt zainteresowany racjonalnie nie dopilnował i których wiele pochłonęło sumy, dając bardzo nikły rezultat. Teraz, gdy jest kryzys, narzekamy, że się zamało buduje. A tymczasem można dziś wystawić domek niewielkim kosztem i z wszelkimi ułatwieniami dzierżawy placu, tańszej robocizny i materiału, nie tak nieograniczonej i łatwej jak dawniej, ale jednak możliwej pożyczki Banku Gospodarstwa Krajowego i t. p. Zamało ma pieniędzy jedna rodzina, niech się zbiera po parę, nawet bez oficjalnych spółdzielni. Co mówić o budowaniu. Wia-

domo, że najdroższe są małe mieszkanie dwu- i trzy-pokojowe, lokal zato sześć- lub ośmiopokojowy dostać można łatwo i taniej. Czy nie warto takich lokali podzielić? Czy dwie np. rodziny, krewnych, dobrych znajomych nie mogą się pogodzić? Czy to nie lepsze, niż gnieźdzenie się w „lokalach“ bez słońca i powietrza, w okropnych studniach podwórz, w pokojach, które nadają się tylko na składy towarów, i to, o ile nie są wilgotne, co też się zdarza często.

Inna, wielka bolączka życia inteligencji: długi. Wiadome jest ogólnie, podnoszone było wielokrotnie w prasie zadłużenie urzędników. Robi się już coś, projekty przynajmniej, pomoc instytucji państwowych i społecznych. Na jedną stronę sprawy nie zwrócono uwagi, przemilcza się ją i nie radzi. Rzecz prosta, że dług każdy musi i powinien spłacać, ale jak? Prawo oznacza wysokość tej spłaty i każdy drobny rzemieślnik czy kupiec czy wyrobnik może uiszczać odpowiednią część ze swych zarobków, sam, lub drogą procedury prawnej. Inteligent pracujący w bardzo wielu instytucjach nie, gdyż są instytucje, w których spłata długu drogą procedury prawnej powoduje dymisję pracownika. Jeżeli więc wierzyciel wymaga większej sumy i grozi aresztem pensji, pracownik zaciąga nowe pożyczki i brnie w położenie bez wyjścia. Znów obyczaj „fasonu“ niedostosowanego do obecnych czasów i który napewno można by zmienić zbiorowym wysiłkiem.

Wszyscy mamy zamało pieniędzy, jeżeli (co już jest dobrze), starcza ich na najpierwsze potrzeby, to nie zostaje nic na rozrywkę i kulturę umysłową. Czy nie możnaby jednak tych najpierwszych potrzeb obliczać taniej? O mieszkaniu już mówiliśmy. Życie, artykuły spożywcze nie są naogół drogie, a jednak i tu możnaby znacznie mniej wydawać zbiorowo. Miały na to zaradzić spółdzielnie spożywcze. Nie znam dokładnie ich kalkulacyj, ale naogół ceny w ich pięknych sklepach w Warszawie są takie same, jak wszędzie. A tymczasem w różnych okolicach kraju, nieraz o kilka kilometrów od stolicy, lub większych miast ceny produktów są znacznie niższe. Dlaczego nie sprowadzać tych produktów, przy obecnem ułatwieniu pocztowem paczek żywnościowych? Mogą to robić zarówno pojedyncze rodziny, jak kilka rodzin, lub instytucje.

Narzekamy na niemożność rozrywek kulturalnych, książek, teatru, koncertów. Ale czy też każdy, kto nie może kupić książki, ma chociaż abonament w czytelni? Na to już każdego stać. Teatry, koncerty? Ilu jest bezrobotnych aktorów, śpiewaków, muzyków. Niech grają, w jakiegokolwiek sali, choćby bez dekoracji, jak za Szekspira, niech deklamują, śpiewają, niech dadzą najniższe ceny, ale niech mają pewność, że publiczność przyjdzie, że nie wejdzie w drogę snobizm, lenistwo, brak istotnego zainteresowania artystycznego, dla których brak środków stanowi łatwą wymówkę.

Na każdym odcinku życia możnaby dużo zrobić i dużo poprawić, wyzbyć się trzeba tylko niechęci, bierności i zastarzałych uprzedzeń, a wzmóc energję, pomysłowość i bezwzględną wolę stworzenia *dobrego* życia.

N. J.



*Cudowny obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej według auto-
litografji Łucji Stehlik - Wiślickiej.*

Niepokałane Poczucie

*Z ciemności, z mgławicy,
Światło się spływa z wodą
W zielony sierp księżycy.
Z mód, chmur i światel zwiana,
Wśród kosmicznych ogrodów
Poczęta — Bogurodzica!
— Niepokalana...*

*Cherubinów i Serafinów
Anielskie skrzydła wonne
Strzepały kryształ rosy
W chmur rozburzoną pianę...
Serce przebóstwione,
Poczęte w niebiosach,
Niepokalane.*

*Żywiol miecza ognisty,
Oniemiały i głuchy
Doznał aktu przemiany
W rozświetlone przestworza.
A oto z woli Bożej
Stała się wieczna, czysta,
Spłodzona z ducha,
Niepokalana...*

S. S.

Tyle jeszcze zbieg postrzegł, że za nimi nikt zbrojny nie wkroczył, jeno wiele znakomitych osób z orszaku gubernatora...

Arciszewski tedy ze swym sługą poczęli ścigać się z prądem, torować sobie drogę w głąb kościoła, licząc na ciemność fijołkową, którą nawy od dołu porastały.... Twarze naokół były zatarte, rozmodlone, znikły za woalem nocy.

W bastjonie głównej nawy między strzelistymi filary, zrosniętymi u szczytu, jak korony palmowe, lub jak załamane w żarliwej modlitwie palce, płynęła fala za falą... Mrowiło się od głów...

Rozeta witrażu na pół wysokości świątyni, ogromna jak kwiat zaświatów, jaśniała barw mistyczną tęczę. A promienie wypływały z niej stopione w jeden aromatyczny, kojący nurt...

Lecz nie płynęły tem łożyskiem kolorowem do głównego ołtarza. Fale ludzkie znosiły ich ku bocznej nawie, skąd biła złota luna...

Nagle stało się jasno i leżało przed wojakiem jak na dłoni, że poza liturgiczną szatą nabożeństwa coś nieuchwytnego się działo. A jednak nie były to omamienia, ani czary, bo to, co się działo, było jasne i przemawiało do serca prostym, a ogromnym głosem prawdy.

I szukał głosu.

Podniósł oczy w górę i na chór się obejrzał, bo czy mu się zdało, czy naprawdę tam na wyży wieloskrzydły Serafin gra na organach jeden strzelisty motyw: Sancta Rosa, Lumen Coeli!...

A potem jakby ktoś aksamitną dłoń na trzepoczącym sercu mu położył, jakby to burzliwe serce delikatnie kwietną, chłodną pieczęcią objął i ścisnął. I wówczas uczył lęk...

Musze jego uszu otworzyły się wtedy na szept żarliwy, którym drgały wszystkie usta, usłyszał on szmer szklanny, niby w ulu pszczelnym, taki sam, jak u wrót katedry, jeno o wiele, wiele lżejszy, lotniejszy, słodszy:

— Ave Maria... gratia plena...

Czuł jeszcze i postrzegał wiele rzeczy ze świata grubych zmysłów. Wiedział, że Smutek czepia się jego płaszcza. Lecz prędko począł się z tych łachmanów cielesności odwijać, stopniowo, nieodrazu. Następowła istotna przemiana w rzeczach. Świat postrzegalny wznosił się na poziom szczytnego misterjum, stapiającego wszystkie serca w jasność, w jasność...

I znowu oczyma ciała widział, że jasność biła od mnóstwa świec, powtykanych na mosiężne kolce dookoła posagu Przenajświętszej Marji Panny z Dzieciątkiem na ręku...

Ale prawdziwa jasność biła nie od świec, jeno, krystaliczna, promieniała w przeczystym czole dziewiczem, i w uśmiechu tak dziecinnie naiwnym, rozlewającym jak niebiański balsam na wszystkie nędze, cierpienia i potworności świata, że zaskorupiały, zakuty w błędach swoich wojownik uczył spazm krtani.

Rozumiał jednak jeszcze: Smutek dlatego za płaszcz go targa, bo wszyscy dookoła posuwają się na kolanach.

Osunął się ciężko, a gdy klęczał, tęcze witraży nagle zgasły. Słońce zaszło. W czerni aksamitnej znikły nawy, ołtarze, posagi świętych i filary. Tylko rozjaśniła się prześwietna jasność.

Ktoś śpiewał. Czy ksiądz w komży, czy chór kleryków, lecz śpiew to był archanielski:

Ave Maria... gratia plena... Dominus tecum... Virgo Serena...¹⁸⁾

¹⁸⁾ Pieśń Josquin des Prés (1450—1521). Zdrowaś Marja, łaskiś pełna, Pan z Tobą, Panno Pogodna.

Mniejsza gdzie jest, co się z nim dzieje. Same wargi podchwytyją motet: (Ave, cuius Conceptio solemni plena gaudio, caelestia, terrestria, nova replet laetitiam...¹⁹⁾)

Słowa, ogarniające światłem, słowa, przejmujące drżeniem, jakoby on oto ocknął się rycerzem krzyżowym i klęczał u Grobu Zbawiciela. A modlitwa się rozwidnia, rozdala — niebotyczna, jak muzyka sfer szklanna, triumfalna:

Ave, cuius Nativitas nostra fuit solemnitatis, ut Lucifer lux oriens verum solem praeveniens...²⁰⁾

W oczach męża, które oglądały setki pożarów, w oczach, zimno na mord i pożogę patrzących, ukazały się pierwsze łzy, jak rosa poranna, i powoli spłynęły po nielitościwym obliczu.

Już nie potrafił zdusić drżenia warg, a co ważniejsza, nie chciał. I powtórzył z pokorą szczerą, męską i wielką:

Ave, pia humilitas, sine viro fecunditas, cuius Annuntiatio nostra fuit redemptio...²¹⁾

Głos rasy, zawsze wiernej Krzyżowi, „semper fidelis“ grał na strunach serca wojownika. Trząsł się oto, dygotał, jakby w nim szalał wielki ogień oczyszczający. Rozpadał się do głębi, do fundamentów istnienia swego. Przechodził przez istne trzęsienie ziemi. I sam nie wiedział, jak czołem dotknął tafli z kamienia. A śpiew archanielski brzmiał, wibrował, rwał się w gwiazdy, w błękit przeczysty:

Ave, vera virginitas, immaculata castitas, cuius Purificatio nostra fuit purgatio. Ave, praeclara omnibus angelicis. Virtutibus, cuius fuit Assumptio nostra glorificatio. O, Mater Dei, memento mei. Amen...²²⁾

Arciszewski rozumiał: stało się. Stary świat się w nim załamał. Inne wschodziły gwiazdy. Ktoś nieodparty rozbroił go nie przemocą, lecz wdzięcznie i lekko wyjął mu z ręki kord zbroczony, a włożył w nią kwiat. Przecie serce ludzkie, jeśli w głąbi zostało szlachetne, nie może być wrogiem pokoju, ciszy kwietnej, harmonji, piękna i świeżości krynicznej, prawdy...

Strudzoną głową wsparty o filar, Arciszewski powtarzał: — O Matko Boża, pamiętaj o mnie.

Nabożeństwo było skończone. Szeregi wiernych przerzedzały się. Trzeba było myśleć o odwrocie. Nagle drgnął.

Przez mgłę łez dostrzegł utkwione w siebie wielkie czarne, aksamitne oczy, jedyne w swoim rodzaju. Opodał w stallach siedziała dama, cała w szkarłacie. Otaczała ją świetne grono dostojników świeckich i duchownych. Arciszewski ani się zdziwił, ani przeląkł. Raczej, wracając do przytomności, ciekaw był, czy Dona Carlotta wyda go. Nie była przecie miernego umysłu, pospolitego serca. Toć było jasne, że przez wspólną modlitwę zadzierzgnął się między nimi pakt milczący. Jakoż nie omylił się. Wstała i bez słowa, nikomu nic nie rzekłszy, ani wskazawszy zbiega, posuwała się ku wyjściu.

Za filarem Arciszewski natknął się na skurczoną

¹⁹⁾ Poczęcie Twe wspaniałą przejmując nas radością, ziemię i niebo nowem przepelnia weselem.

²⁰⁾ Pozdrowiona bądź, bowiem z Twojem na świat przyscieniem dla nas wielki dzień nastał, któraś jest jako gwiazda zaranna, wschód słońca zapowiadająca.

²¹⁾ Ktoś jest pokorną i pobożną, Rodzicielką, która męża nie знаła. Zwiastowanie Twe odkupiło nas.

²²⁾ O, dziewictwo istotne, czystości niepokalana! Twoje Oczyszczenie i naszym było oczyszczeniem. Wszystkich aniołów przewyższasz Cnotą Twoją. Wniebowzięcie Twe nam otwiera wrota chwały. O, Matko Boża, pamiętaj o mnie. Amen.

postać Smętka. Twarz sługi była czarna, skażona śmiertelnym strachem, a jedyne jego oko—zeszklnione, jak u trupa. Biedny djabeł, ukryty w Smętku, musiał przeżyć straszne chwile. Ledwie na nogi udało się go Arciszewskiemu postawić i wyciągnąć z katedry.

Wplątali się w rzekę ludzką i jakoś na zimne światło księżyca wypłynęli.

Na plaży tłum się rozmrowił, rozprzągał...

Ciemny był gród. Tylko drgały światelka po austerjach i hospedarjach²³⁾.

— Stracili trop! — odsapnął Smętek.

— Gdybyśmy mogli dostać się na Espiritę... — westchnął Arciszewski.

— Pewnikiem ją zajęto — rzekł posępnie sługa. — Mówiłeś, wasza miłość, że była zdrada?

— Ale, żem przekupił kapitana Espirity, nikt nie wiedział. Kto mógł zgadnąć, żem na tej feluce ważył się do Sao Salvador?

— Bramy zamknięte. Jakże to mamy przedostać się do portu?

— Choćby przez mury. Prowadź ku murom od strony portu!

Gwar ludzki przycichł. Uczyniło się dziwnie, urocznie. Z pomiędzy domostw wypłynęły martwe blaski księżyca, budząc kroki, szepty i czary, jakby kto na gród senny zarzucał srebrny niewód i łowił serca. Tu i owdzie ozwał się śpiew pod brzęk struny w tętniacem narzeczu kastylijskiem, w pieściwej portugalszczyźnie. O parę kroków od dwóch zbiegów rozgrywała się scena, rzekłbyś Don Kiszot i Maritornes. poczem amant, zostawiwszy wjole na przymurku, wsunął się w okno.

— At, miłosna mitrega! — machnął ręką Smętek.

— I nam w symulowanie takowej mitregi zabawić się przygodzi — rzekł Arciszewski. — Jeśli nas ront weźmie na oko, wjola może nas obroni od zaczepki. Z temi słowy pułkownik pogrzebał w kabzie. dobył jednego duro i położył monetę na przymurku, sam wziąwszy wjole...

— Czyś nie mówił, Smętek, że gdzieś u samych murów, jest pałac Carlotty?

— Właśnie — odrzekł Smętek, oglądając się trwożliwie za siebie na odgłos kroków i szczęk broni.

— Ront idzie, a pałac tam, za krągłym placem. Na balkonie widzę światło.

— Pod balkon! I bierzmy się do wjoli. Nie znasz jakowych fraszek, czy rymów?

— Przecie wasza miłość sam je składasz.

— Po polsku, trutniu, a to zgola co innego. Wszelako potrzeba matką inwencji... I Arciszewski ruszył szparko, brząkając w struny, nucąc i podśpiewując. Snać szukał natchnienia.

Stali przed piękną siedzibą magnacką z wieżyczkami i tarasami, w falach zieloności, przybijającej do murów, do których dostęp dawała jedna tylko spżozwa furta. Księżyc czynił bajkę z tego gniazda. Żółty blask sączył się z poza kraty balkonu.

Arciszewski uderzył w struny i zaśpiewał głosem niskim, lecz dźwięcznym, aż sam harmonji i kunsztowi swych słów się zdziwił:

*Pod niebieskim księżycem tęsknoty
Śle hidalgo do Dony Carlotty
Brzęk gitary i serca dźwięk złoty.
Pod balkonem Dony Carlotty.
Na sztylety niebaczny i groty,
Ciska w górę na ścianę z kamienia
Ljany pragnień i łąso westchnienia,
Lecz spadają na niego zporotem.*

Ruch na balkonie i światło zgąsło. Milczenie.

— Masz djable kubrak! — syknął Smętek.

Arciszewski strącił z głowy kapelusz i, stanawszy w pełnym blasku, tak podjął:

*Mimo krwawe rodowe niesnaski
Ów hidalgo bez płaszcza i maski
Sięga śmiało po promień twej łaski
O, Carlotto — złotomagła Carlino!
Jak noc gmiezdna, upojna jak wino,
Ljany pragnień i łąso westchnienia!
Bo przy tobie uroki i blaski,
O, Carlotto — o sercu z kamienia!*

Z balkonu spłynął głos, na którego dźwięk Arciszewski drgnął.

— Łiesz, jak z nut, senjor! — przemówił ów głos natężonym szeptem.

— Wiesz, Dona Carlotta — zawołał Arciszewski — iżem przyparty do muru i że istotnie udaję się do twojej łaski.

— Zapóźno — brzmiała odpowiedź. — Krew padła między nas.

— Wiesz także, Dona Carlotta, że jam jej przelania niewinien. Czyżem nie tłumaczył waszej wspaniałości na hacjendzie w Reyes Mogos?

— Jeśliś i niewinien, senjor, córka granda nie darowuje wzgardy...

— Wzgardy? — zdziwił się szczerze Arciszewski.

— Boś mnie upokorzył, Don Cristophoro, nie przyjmując wówczas mojej łaski...

— To był fortel waszej wspaniałości, nie łaska. Nie wojowałaś po rycersku, Dona Carlotta! Alem ci, mimo to, dwukrotnie cześć i życie ocalił.

— A, ty, Don Cristophoro? Po rycersku przybyłeś na przeszpigi?

Milczenie. Arciszewski rzucił ostatnią kartę:

— Przecie honor waszej wspaniałości domaga się spłaty długu. Toć takie długi respektowane były nawet przez saracerzy!

Milczenie. Smętek targnął za płaszcz swego pana, gdyż alguazile zbliżali się ukradkiem. Wreszcie po chwili, która obu straceńcom wiekiem się zdawała, spłynął głos, stopiony tym razem jak w tyglu serca:

— A wiesz ty, Don Cristophoro, kto cię dwukrotnie, na plaży i w katedrze ocalił?

— Królowa Anielska — odrzekł Arciszewski z przekonaniem — która jest dla nas Królową Korony Polskiej. Ona sprawiła, że nie będziemy walczyli więcej...

— Wierzę ci, hidalgo — zabrzmiała odpowiedź. — Widziałam twoje łyzy. Może z ciebie i łotr, Don Cristophoro, ale grunt, żeś nie heretyk, za jakiegom cię miała. Daj tedy parol, że na Sao Salvador nastawać nie będziesz, a coś tu widział, przeciw nam nie użyjesz... za ciebie i twego kamrata.

— Daję parol za siebie i za Smętka — bez wahania zawołał Arciszewski. — Odplynę do Europy, do starego kraju.

Zgóry spłynęło westchnienie — ulgi, czy żalu, kto wie?

— Pchnij mocno furtę. Otwarta — szepnęła Carlotta. — I potem z wewnątrz zarygluj. Za kępą agaw w naszym patio²⁴⁾ jest druga furta. Tam klucz znajdziesz w zamku. I już będziesz za murami grodu. Bądź zdrów Cristophoro...

— Żegnaj Carlina...

Czas był wielki. Ledwie furta za zbiegami się zawarła, ledwie zasunęli rygle, alguazile poczęli się dobijać. Rzeczywiście za kępą agaw była furta; a kiedy się przez nią wymknęli, mury miejskie mieli za sobą, a światła i rozgwar portu o małą staję. Smętek rozpoznał wkrótce wśród mrowia okrętów smukłe kształty Espirity.

Przed zbiegami toczyła pełne swoje wody potężna Rio de Janeiro, nie dająca się zamknąć ni forty, ni łańcuchy. Byli wolni, ale — na parol.

²³⁾ Zajazdach i gospodach.

²⁴⁾ podwórzec.

Pielgrzymka po Nałęczowie

Mżył drobny, dokuczliwy deszczyk, kiedy wsiadałam do jednego z powozików, kursujących między Nałęczowem stacją, a miastem. Ówczesna moja droga prowadziła w zupełnie inne, odległe strony. W Nałęczowie kazał mi się zatrzymać wewnętrzny mus. Potrzeba zapamiętania się w nastroju, w dumaniach, wspominkach. Do Nałęczowa chciałam jechać kiedyś — oddzielnie. Świadomie i rozumnie przejść wszystkie ścieżki i zarosłe drogi, którymi chadzał kiedyś wielki Nałęczowa mieszkaniec — Żeromski. Chciałam znów obejrzeć chatę jego, pamiątki po nim, porozmawiać z ludźmi, którzy go znali.

A przyjechałam wtedy, kiedy wiadomo było, że nie zobaczę nic i nie pomówię z nikim. Ale musiałam. Mżył drobny, siekliwy deszczyk. Przed nami i za nami i obok nas ciekły cienkie strużki, srebrząc się błyskami na brudnym tle ziemi. Wzgórza, wzgórza. Droga rozchlastana na płaskie, kleiste taśmy błota. Na lewo za gliniastymi ścieżkami jasna zieleń lasu. Mocny zjazd z góry. Nałęczów. Dorożka zatrzymuje się na postoju.

— Może dalej pani pojedzie?

— Nie, dziękuję — wysiadam. Deszcz mi nie straszny. Mam dobry płaszcz, całe buty i włosy schowane bezpiecznie. Stanęłam i myślę, gdzie pójść. Takie znajome drogi. Ta w górę poprowadzi do parku, gdy zejść z niej w lewo, zajdzie się do Domu Ludowego. Ta w prawo, w wąwozy nałęczowskie a dołem jednego z nich wiedzie ścieżka do chaty Żeromskiego. Tą znów, w lewo, zajdzie się het, na krańiec na „Pałuby“. Droga najczęściej nogami ongiś przemierzana. Tam pójde. Ogrody zielone, smrekowe i szare od nagich konarów i bure od zamokłych nieopadłych liści. Wille. Jasne, białe, wyzywające

czystością i ciche przytulone do pagórków stonowane brązowością sosnowego drzewa, samotne. Domki małe, wkopane w ziemię z głęboko nasuniętymi na czoło dachami, niskie.

Tą oto drogą przechodził tysiąc razy Żeromski, gdy śpieszył do szopy na krańcach osady na tajne nauczanie mowy polskiej. Kiedy pierwszy z pierwszych rzucił ziarno w niwę dzisiejszej mądrej i przewidującej oświaty pozaszkolnej. Sam? Nie sam, w towarzystwie nielicznych, którzy odeń wzięli płomień serca.

Pałuby. Willa niewielka w głębi ogrodu. Niedaleko wejścia na prawo długi niski budynek. Szopa. To tu było. Przed czterema laty w tej „szopie“ odbywały się wykłady uniwersytetu ludowego. Żywem słowem żłobiło się serca młodzieży wiejskiej, w rytm zaklętych tu w tem powietrzu idei Żeromskiego. Przed czterema laty żył jeszcze i mieszkał ot, tu w tej willi jeden z ostatnich, którzy pracowali z Żeromskim, ś. p. Jan Dulęba.

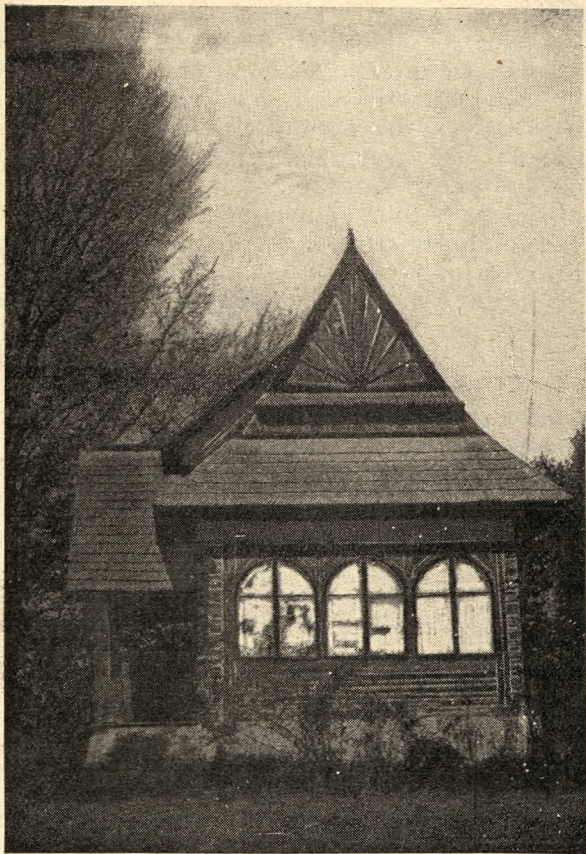
Stary, sterany wiekiem, chorobą i niedolami niewolnego życia entuzjasta nowej, radosnej Polski. Słuchaliśmy go — oświatowcy — siedzący dokoła jego łoża, jak snuł słowa między przeszłymi i teraźniejszymi godzinami polskiego dnia. W niejednej piersi zabiło mocniej serce i w niejednej duszy załomotała ochota: czynić. Stoję na podwórzu pałubińskiej willi i patrzę dokoła, dokoła. Dulęba Jan przed dwoma już laty spoczął w nałęczowskiej miłowanej ziemi. Po Żeromskim zarosły ścieżki. Ucichł dawno gwar słuchaczek uniwersytetu.

Wracam. Oto „Słowicza Dolina“, miejsce zabaw miejscowej młodzi. Oto nad nią ochronka Żeromskiego. Piękna, różowo-szara z grubego ciosowego kamienia. Czy wiedzą bawiące się tam dzieci, czyją wolą zrosły się te kamienie w twardy i bezpieczny dach nad głową? Stokiem zielonej góry Poniatowskiego idę wpoprzek drogi. Mostek na wezbranej rzeczce. Mozolna ścieżka w górę między kamieniami i oślizgłą gliną. Znów szary mocny kamień, pnący się z głębi fundamentów w górę.

Dom Ludowy. Spółdzielnia. Szkoła Spółdzielcza. Krok w krok idzie ze mną wizja nieustępliwej i twardej pracy. Pracy zakłetej w kamień, spełnianej bezpośrednim trudem i jasnowidzącym piórem, przewidywanej w przyszłości. W przyszłości, której już głębokie spojrzenie żywym okiem nie wypatrzy. Oto mija dziewiąta rocznica śmierci niestrudzonego Bojownika. Listopad — 20 listopada 1925 roku. Długą przyparkową aleją, potem szeroką w dół ulicą i wąskimi w glinie ścieżkami idę ku chacie Żeromskiego. Jest zamknięta. Wiedziałam, że będzie zamknięta, ale każdy szczegół jej wnętrza znam na pamięć. Nie pójde do ludzi szukać klucza. Mała furteczka ogrodowa jest otwarta, pewnie przypadkiem. Weszłam do wnętrza. Stanęłam na drewnianym ganku. Za mną grube zakopiańskiej konstrukcji drzwi.

Wiem, na prawo od wejścia stoi biurko małe, staroświeckie, na niem kalamarz, obsadki, albumiki. Fotel niski przed niem. Na lewo przedziwnej roboty parawan z zakopiańska rzezany. W drewnianych ramach za szkłem ma obrazy. Za parawanem małe, dziecinne łóżeczko — Adasia (ktoś kiedyś objaśniał).

(W jednym z włoskich listów Żeromskiego u ko-goś z bliskich jemu czytałam raz: „Najdroższy mój synku“ — już dwa dni, jak nie miałem listu od Ciebie“...)



Chata Żeromskiego w Nałęczowie.

Jedna mała izba jest w tej jasnej chacie. Żyją w niej swoim tajemnym życiem przedmioty. Obrazy, dzieła sztuki na ścianach, meble i drobiazgi, figurynki, które pewnie lubił za życia. Coś jest w niej jednak ze świątyni. Może te okna jak tryptyk, ukazujące w panoramie mauzoleum Adama, może cisza uroczysta i nieśmiało pólsepty, jakie towarzyszą zwiedzaniom miejsc drogich sercu, a może właśnie duch Żeromskiego mieszka w tych, z bierwion kładzionych, ścianach, zdala od kamiennej płyty, która na cmentarzu w Warszawie przywala jego kości.

Zasłuchałam się w szum drzew dokoła.

„One widziały wszystko, wszystko wiedzą“.

Ścieżki ogrodu Żeromskiego są mokre i błotniste. Latem dokoła nich kwitną i rodzą warzywa. Wtedy, kiedy tu byłam, pachniały liljowe kwiaty ziemniaków. Nawisały nad nimi nisko ciężkie od owocu gałęzie małych jabłoni.

Strzelisty budynek mauzoleum jest szary i ciemny. Samotny stoi wśród obmokłych i rozkołysanych drzew, jak one wieczny i wiedzący.

Usiadłam na kamiennym stopniu wewnątrz mauzoleum. W kałużach wody raz wraz rozpryskiwały się w sto perlistych baniek krople jesiennego deszczu. Zerwał się wiatr i szumiał w pobliżu konarami. Oparłam wzrok na popielato-srebrzystych szybach okiennych chaty.

Już wiedziałam, poco przyjechałam tu dżdżystym, jesiennym dniem. Dlaczego zboczyłam z drogi, która mnie wiodła w inne, odległe strony.

Oto chciałam tajną mową serca powiedzieć wychowawcy i nauczycielowi, że ma dziedziców. Chciałam rzec sercu, które miłością i męką przeorało cały żaloszny polski ugór, że z bruzd i miedzy wstają, że przyciesie nowego Domu ociosują i że Ducha z pyłu w górę dźwigają — spadkobiercy.

Wera Tropaczyńska.



Grupa oświatowców przed Mauzoleum Adama Żeromskiego.

Echa Poznańskie

W słoneczny dzień przegląda się w prostokątnej taflí spokojnego stawu.

Jest ozdobą jednej z głównych arterij miasta, ogniskiem jego kultury muzycznej.

Teatr Wielki już od dwóch lat pozbawiony stałych subwencji, realizuje własnymi siłami program operowy, stanowiący znaczną pozycję w polskim dorobku na tem polu.

Duża tu zasługa energicznego i zdolnego dyrektora d-ra Latoszewskiego.

W ogólnem mniemaniu nie przypisuje się wielkiego znaczenia innym operom polskim poza warszawską. Pisała na ten temat obszernie prasa stołeczna.

Warto więc zanotować fakty, świadczące o rzetelnych wysiłkach poznańskiej opery. Zmierzają one do planowej rozbudowy polskiego repertuaru w tej dziedzinie.

Dość śmiało nakreślony program na sezon bieżący, budził w pierwszej chwili zastrzeżenia, a nawet ironiczne uśmieszki powątpiewania: — Czy podołają? i na jakim poziomie?...

Dotychczas odbyło się kilka premier z zadziwiającą punktualnością. Między nimi inauguracyjna: „Eros i Psyche“ Różyckiego i poraz pierwszy w Polsce wystawiona wesoła operetka Lehara „Piękny jest świat“.

Prawdziwem „wydarzeniem“ w kulturalnym Poznaniu była premiera opery Dworzaka „Czart i Kasia“ z okazji szesnastoletniej rocznicy niepodległości Czechosłowacji (28. X.). Zjechał z Pragi p. Józef Munclinger, naczelný reżyser Narodnego Divadla. Reżyserując sztukę, wystąpił sam w głównej roli Czarta.

Poznań poszczycić się może wprowadzeniem już trzeciej zrzędu opery czeskiej do repertuaru scen polskich. Pierwszą była „Jenufa“ Janáčka, drugą „Szwanda dudziarz“ Weinbergera.

„Czart i Kasia“ jest bajką osnutą na legendach ludu słowackiego. Przybyły na wiejską zabawę Czart zabiera do piekła wesołą dziewczynę Kasię, która obdarzyła go szczególnymi względami. Jednakże Kasia jest z gruntu dobrą i ma na szyi krzyż poświęcony, którym straszy dja-

blów. Zmęczony daleką drogą Czart nie chce jej odnieść zpowrotem, więc oddaje Kasię w ręce pasterza, który przybył do piekła po dziewczynę. Właściwem jednak zadaniem Czarta jest zabranie do piekła właścicielki wsi, bogatej księżniczki, gnębiącej strasznie podwładny lud. Jednakże w drodze do tej księżniczki trafil Czart na zabawę w karczmie, gdzie spotkał Kasię.

W ręce Kasi złożono po powrocie losy księżniczki, która pod groźbą piekła czyni pasterza rządcą swych włości i obiecuje być dobrą dla ludu całego. Kasia zostaje żoną pana rządcy.

Wielkiem urozmaicheniem sztuki jest bogaty folklor ludowy. Słowaczyna znana jest z barwności strojów i melodyjności pieśni ludowych. W psychice słowackiej łączy się pierwiastek raczej wschodniej zadumy z bujnym temperamentem ludu góralskiego. I taki właśnie jest dominujący ton „Czarta i Kasi“.

Muzyka stanowi niezwykle plastyczną ilustrację treści. Dzięki ogromnemu bogactwu motywów ca-

łość jest bardzo żywa i przykuwa uwagę widza. Prosty, prymitywny mit pozwala wsłuchiwać się szczególnie w melodje.

Dekoracje zyskują na efekcie dzięki pomysłowym oświetleniom. Odnosi się to zwłaszcza do sceny w piekle, utrzymanej w tonie czarno-czerwonym.

Specjalne brawo należy się p. Statkiewiczowi za balet, przygotowany starannie i pełen wymownej ekspresji.

„Prowincja też chce żyć“, czytaliśmy niedawno w jednym z poznańskich czasopism. Autor artykułu pod powyższym tytułem występował przeciwko centralizowaniu całego życia kulturalnego w stolicy z pokrzywdzeniem prowincjonalnych ośrodków.

W szczególności chodziło tam o projektowane przeniesienie „Panoramy racławickiej“ ze Lwowa do Warszawy.

Tak. Prowincja chce żyć, stwarzać własne ogniska wiedzy i sztuki.

I od czasu do czasu spogląda ku stolicy, czy z tego wrzącego tępem życia kotła nie spadnie jakaś ożywczą kropelka, pełna dynamiki, koniecznej do dalszego rozwoju kulturalnego.

Z dużą sympatją i jaknajlepszym nastawieniem oczekuje Poznań warszawskich gości, przybywających na dorywcze występy. Zwłaszcza aktorzy mają już ustaloną markę, której podstawą jest opinia, że takiego „asa“ każdy musi widzieć. Pierwsze występy i pobyt Modzelewskiej w grodzie Przemysława przyoblekły się nawet w postać popularnej „Firmy“, której bohater jest typem bywalców teatralnych, jakich Poznań ma wielu. Są to przeważnie „specjaliści od premier“. Poznańczyk lubi premjery teatralne bardziej, niż... świeże bułki. Zdałoby się, że premjera ma nęcący zapach świeżego pieczywa, który znika już w drugim i trzecim dniu wystawiania sztuki. I w tem może tkwi potrochu tajemnica, że w Poznaniu naogół krótko figurują sztuki na afiszu, choć na premierze teatr był wypełniony po brzegi.

Dziś jednakże chcę pisać o tem, co ostatnio „przyszło do nas“ z Warszawy i dlatego miałam ochotę zatytułować tę korespondencję: „Warszawskie echa w Poznaniu“.

Więc była Malicka z Sawanem. Wprawdzie znowu zagościła uroczą Warszawianka w sąsiedztwie osławionego w „Firmie“ sklepu korzennego, jednakże obyło się bez paczek cykorji i kawy...

„Cień“ (Nicodemiego) w Teatrze Polskim był sukcesem, choć zarzucano, że motyw małżeńskiej zdrady jest już zbyt oklepany i zbyt jedno-

stronnie potraktowany. Mówili tak przede wszystkim panowie.

Lecz wszyscy zgodnie zachwycali się wdziękiem i grą Malickiej. Dziełnie dotrzymywał jej kroku w „Cieniu“ Sawan. Mniej udany był jako Mortimer w „Marji Stuart“. Kłasy czny wiersz wymaga szczególnego bogactwa dykcji i dużej skali głosowej, by nie nużył słuchacza. W ustach Sawana wychodził przeważnie jako bezbarwne staccato. Jednakże od czasu jego ostatniego pobytu w Poznaniu znać bardzo duży postęp, więc można oczekiwać, że wkrótce i te niedociągnięcia znikną.

Ogólna reżyserja i dekoracje obydwu sztuk były naprawdę niecodzienne, godne występów gościnnych.

A potem — gruchnęła wieść po Poznaniu, że przyjeżdża Bajan. Zmobilizowano szkoły w okresie ferij „Zaduszkowych“, by młodzież i dzieci witały bohatera lotnika. Gadatliwy i nonszalancki w typie „Kaktus“ urządził z tej okazji wieczór p. t. „Bajanie o Bajanie“, który nastroił słuchaczy raczej minorowo. Zawiele bowiem bajano o niebezpieczeństwie śmierci grożącej lotnikom. Oni wiedzą o tem dobrze. Czyż trzeba w takich chwilach przypominać?...

Mówią, że Poznań jest realny, że lubi rzeczy konkretne. Więc nawet uczucia artystów poznańskich dla Bajana przybrały konkretną formę: oto zebrani w „Iksie“ artyści-plastycy ofiarowali bohaterowi lotnikowi kilkanaście swoich dzieł.

I znowu prowincja była zadowolona, że po triumfach w stolicy zwycięzca przestworzy pozwolił i jej zachłysnąć się entuzjazmem...

Najświeższą „kroplą“, która skapnęła Poznaniowi ze stolicy, był Skiwski na wieczorze czwartkowym w pałacu Działyńskich. Zapowiedź jego przyjazdu z wykładem na temat „Religia a kultura“, była sensacją nielada. Wszak Poznań jest centralą polskiej Akcji Katolickiej, siedzibą Prymasa Polski, a przeto ma tradycję najbardziej katolickiego z naszych miast.

Więc temat zapowiedzianego wykładu był bardzo aktualny i ciekawy na tym gruncie.

Ale niezawsze atrakcyjny szyld poleca równie atrakcyjny towar...

Referat p. Skiwskiego przez swą fragmentaryczność i pobieżność robił wrażenie pracy niedość starannie i gruntownie przygotowanej.

Taka myśl nasunęła się może dlatego, że na sali było zbyt wielu poważnych naukowców i znawców poruszanych kwestyj.

O czem istotnie mówił prelegent?

Oto z obszernego zagadnienia wyjął jedyną kwestję stosunku katolicyzmu do literatury, a szczególnie powieści realistycznej (czyli małego ułamka kultury). Stwierdził, że ta religja uznaje dwie rzeczywistości: doczesność i wieczność; jednakże istnieje trzecia rzeczywistość, którą stanowią twory ducha ludzkiego, zwane kulturą. Ponieważ zaś w pojęciu religji niema miejsca na tę trzecią rzeczywistość, zachodzi antynomja, czyli przeciwieństwo między religją i kulturą.

W dyskusji, która wyłoniła się po referacie, wykazywano prelegentowi zasadnicze błędy rzeczowe i formalne.

Skoro religja jest człowiekowi wrodzona, jest niejako emanacją jego ducha. Twórczość jest konkretyzowaniem duchowych przeżyć artysty. Jeżeli więc ta twórczość jest *bezwzględnie szczerą*, nie może być antynomją między religją, a kulturą. Tak wygląda w streszczeniu ogólny wniosek dyskutantów.

Poruszano w dyskusji szereg niesłychanie ciekawych zagadnień, jednakże bezwzględne ograniczenie przemówień do pięciu minut nie pozwalało nikomu rozwinąć należycie własnej tezy. A szkoda, gdyż mówili ludzie prawdziwie myślący. Może w przyszłości uda się uniknąć tego systemu.

Zaznaczyłam, że w referacie p. Skiwskiego razila fragmentaryczność. Oto na poparcie swego twierdzenia nie znalazł prelegent innych przykładów jak Mauriac'a i Maritain'a, przytaczając w dowodzeniu luźne zdania, z ich dzieł wyjęte. Już samo zestawienie tych dwóch umysłowości budziło duże zastrzeżenia. Bo przecież od Mauriac'a do Maritain'a dystans jest mniej więcej takiej miary, jak od Kossak-Szczuckiej lub Czeskiej-Maczyńskiej do dzieł arcybiskupa Teodorowicza...

Zresztą, czy w polskiej literaturze mało jest przykładów, ilustrujących przeżycia artystów na tle religijnem?

Mauriac jest modny, to prawda. O Maritainie mówi się dużo, a Poznań pamięta go jeszcze z ostatniego kongresu tomistycznego. Lecz dopiero w oparciu o wyraźną analizę całokształtu ich twórczości wywoływałyby plastyczne i przekonujące.

I wtedy byłyby zgola inne... Niewątpliwie jednak wieczór ósmego listopada „poruszył mózgi“. Będzie może jednym z licznych etapów na drodze do krystalizowania się religijnych pojęć we współczesnem społeczeństwie. A z takich etapów składa się przecież postęp w dziedzinie ducha.

Zofja Karczeńska.

Gody książęce

Motto: „The world loves lovers”.

(„Świat kocha kochanków”).

„Zimową porą roku Pańskie-go 1065, król Edward przybył do Westminsteru i rozkazał, aby uroczystie poświęcono kościół katedralny, który tam był wybudował ku chwale Pana, i św. Piotra, i Wszystkich Świętych. Kościół poświęcono w dzień Młodzianków, w wilgę Trzech Króli król oddał Bogu ducha, i tegoż dnia został pochowany w krypcie nowo poświęconego kościoła”.

(Anglo - Saska Kronika).

Dziewięć zatem prawie wieków upłynęło od owego czasu... Wiele królewskich ślubów widziały wysokie, przedziwne z kamienia wykute stropy starożytnej świątyni, lecz nigdy chyba przed ołtarzem, lśniącym od szczerro złotego sprzętu i śnieżnych lilji, — nie uklękła para oblubieńców opromieniona tak wielką miłością, jak ta, która dziś przysięgła sobie miłość i wiarę „aż nas rozłączy śmierć”.

Może jeszcze w zamierzchłej przeszłości, bo w r. 1382, tak drżał od wzruszenia, gdy powtarzał rotę przysięgi (podług rzymskokatolickiego obrządku — wówczas) głos Richarda of Bordeaux, zaślubiającego ubóstwianą przez siebie,

Londyn, 29 Listopada 1934 r. Korespondencja własna „Bluszczu”.



Książę i księżna Kentu, po ceremonii zaślubin. (Zdjęcie zrobione w Buckingham Palace).

i rozmiłowaną w nim — Annę Czeską... I tu, mimowoli, nasuwa się analogja: pierwszy raz wówczas król angielski łączył się z cudzoziemską książniczką; książniczka grecka Maryna, już obecnie księżna Kentu, jest drugą po przez te wieki minione...

I aczkolwiek księżna Kentu nie posiada w sobie ani jednej kropli krwi angielskiej (n. b. — ani greckiej), jest ona ze swoim małżonkiem spokrewniona, gdyż w czwartym pokoleniu wstecz mają oboje wspólnego pradziada — króla duńskiego.

A oto prosta, śliczna, bo tak bardzo przemawiająca do serc ludzkich historia ich miłości...

Książniczka Maryna, córka księcia greckiego Mikołaja i b. wielkiej księżnej rosyjskiej, słynnej z wyjątkowej urody, Heleny Włodzimierzówny, jedynie lata dzieciństwa spędziła na dworze w Atenach, gdyż po zamordowaniu jej dziadka, króla Grecji w 1913 r., i po późniejszym przewrocie politycznym, książę Mikołaj z żoną i trzema prześliznionymi córkami osiedlili się najpierw w Szwajcarii,



Zdjęcie oficjalne orszaku ślubnego, zrobione w Buckingham Palace. (Od lewej do prawej: ks. Katarzyna Grecka, Lady Iris Mountbatten, ks. Walji, ks. Eugenja Grecka, księżna i książę Kentu, W. ks. Kyra Romanowa, ks. Yorku, ks. Irena i książniczka Juljanna. Siedzą: Lady Mary Cambridge i książniczka Elżbieta).

ażeby tam je kształcić. Najstarsza z nich jest za księciem Pawłem, obecnym regentem Jugosławji, drugą za hrabią Toerringiem.

Najmłodsza z nich, Maryna, była tak, jak starsze jej siostry, i jak jej matka, wychowywana od małego dziecka przez angielską nurse, i pierwszym jej językiem był angielski. W następstwie, rzecz prosta, nauczyła się mówić po grecku, po francusku i po rosyjsku i codzienne modlitwy odmawiała w tym języku; z biegiem czasu młoda księżniczka nauczyła się języków włoskiego i niemieckiego.

Po latach nauki córek w Szwajcarii, rodzina księcia Mikołaja osiedliła się w Paryżu, w mieszkaniu, położonem blisko Bois de Boulogne, a sam książę, utalentowany malarz, urządził sobie skromne studio w Quartier Latin, i tam w sferach artystycznych i literackich w krótkim czasie pozyskał, dzięki wielkiej skromności i prostocie, ogromną popularność. W owym okresie młoda księżniczka często jeździła do Anglii, którą zawsze kochała i gdzie miała wielu przyjaciół, a od czasu do czasu bywała zapraszana — wszakże nieoficjalnie — do Buckingham Palace na lunche i herbatki. Widywano ją również na wyścigach w Ascott, w łoży królewskiej, i często zwracano uwagę na przyjazny stosunek do niej, jedynej córki króla — Princess Mary. Obie młode kobiety, „horse-women” par excellence, widocznie połączyło znawstwo i zamiłowanie do rasowych koni, gdyż często widywano je razem w paddocku, roztrząsające zalety i ujemne strony wyścigowców z kompetencją zawodowych trenerów...

Po powrocie z krótkotrwałych



Londyńczycy mają odwagę spędzić noc, na ulicy, w oczekiwaniu pochodu weselnego, pokrzepiając się prowizorycznym posiłkiem, przyrządzonym na primusie.

wizyt w Anglii i Jugosławji, gdzie księżniczka gościła u siostry i szwagra, do Paryża, życie jej upływało na studjach ogólnych, na doskonaleniu się w grze fortepianowej i w rysunkach. Księżniczka uczęszczała na kursa, a jednocześnie pracowała pod okiem księcia Mikołaja, w jego studio.

Roku ubiegłego księżniczka postanowiła urządzić w Londynie w jednej z małych sal wystawowych stolicę pokaz swoich szkiców i rysunków, jednak ojciec odradził jej to, uważając, że nie doszła jeszcze do rozwoju i talentu i techniki, z czym się młoda dziewczyna od razu zgodziła. Należy dodać, że pod względem stosunków rodzinnych, rodzina księcia Mikołaja może słu-

żyć za przykład. Podkreślić należy również pełne godności stanowisko, jakie zajęła na wygnaniu, znalazłszy się w bardzo skromnych warunkach materialnych.

I oto tego roku jesienią księżniczka Maryna udała się, jak corocznie, do Jugosławji, ażeby spędzić kilka tygodni u starszej swojej siostry Olgi i tam spotkać się z drugą siostrą, Elżbietą, która zeszłego roku wyszła za hrabiego Toerringa. Obecnie nastąpiła jej kolej, i siostry żartami drażniły ją, zapytując, kiedy ona zamyśla pójść w ich ślady... Podobno — i to ma być faktem — księżniczka odpowiedziała im, że wtedy, kiedy się po nią zjawi „Prince Charmant”...

I zjawił się... Korzystając z parotygodniowego urlopu, Prince George, który zmuszony był opuścić marynarkę ze względu na chorobę, wymagającą opieki lekarskiej przez dość długi czas, i wstąpił, jako urzędnik, do Min. Spraw Wewn., najmłodszy syn króla udał się do Jugosławji, przyjął gościnę w letniej rezydencji księcia Pawła, i tam poznał księżniczkę...

Cudowny kraj, jazdy konne, wyścizki w motorówce w księżycowe noce z uroczą, młodą, pełną życia dziewczyną...

Jakże nie podpaść pod urok tylu zdradzieckich czynników... Jak mogła się nie podkraść miłość do serc obojga?...

Ale rzecz prosta, od wyznań miłosnych, od świadomości i pewności, że są dla siebie stworzeni, do osiągnięcia najwyższego szczęścia, do pobrania się, było bardzo daleko... Syn monarchy Brytyjskiego Imperjum nie może się żenić bez sankcji króla, nie może postąpić wbrew jego woli, a w rodzinie królewskiej



Młode angielski w oczekiwaniu książęcego orszaku, drzemią przykryte pledem.



Już przed świtem tłumy publiczności zajęły miejsca na ulicach i placach, którei podąży orszak ślubny. Uliczny piosenkarz skracia im czas oczekiwania.

żyje duch tradycyjnego podporządkowania się woli rodzicielskiej...

I poszły listy do pałacu Balmoral w Szkocji, gdzie się znajdowali w tym czasie król i królowa... Listy prawdopodobnie tak pełne wielkiego uczucia i pragnienia szczęścia, że dobre i mądre rodzicielskie serca zgodziły się bez wahania na danie błogosławieństwa swojego... I już teraz młoda para narzeczonych marzyć poczęła tylko o jednym, o przyspieszeniu ślubu, o skróceniu rozłąki, gdyż książę musiał wracać do Londynu. Tu, po naradzie z królem i królową, książę zakomunikował swojej narzeczonej, że, jeżeli jej to odpowiada, ślub może mieć miejsce 29 listopada, co zostało przez nią przyjęte. Od tego dnia księżniczka Maryna spędziła najcięższy chyba

okres swojego życia w Paryżu, dokąd udała się natychmiast po wyjeździe księcia Jerzego do Londynu. Z dnia na dzień, księżniczka Maryna stała się najpopularniejszą osobą w Paryżu... Już nie mogła ruszyć się nigdzie, nie narażając się na demonstracje uliczne, bardzo serdeczne, bardzo miłe, ale bardzo uciążliwe i męczące *a la longue*... Skądinąd — obstalowanie wyprawy, wybór materiału, fasonu, wykończenia, bielizny, sukien, okryć i kapeluszy, zwłaszcza zaś, ślubna suknia, według wymogów etykiety, wymagająca x przymiarek, a przede wszystkim z materiału specjalnie tkanego w jednej z największych fabryk duńskich, w białe, angielskie róże na srebrnej lamie, ile to godzin zabierało nieszczęsnej (ale

bardzo szczęśliwej...) księżniczce!... Wszystko jednak ma swój koniec, więc zaświtał wytęskniony dzień, kiedy księżniczka Maryna, zstąpiwszy z udekorowanego kwiatami statku „*Canterbury*“, posłanego po nią i jej rodzinę do Calais, na ziemię Anglii, padła w objęcia swojego ukochanego, któremu w międzyczasie król nadał tytuł księcia Kentu, nieużywany od 1820 roku.

Specjalny salonowy pociąg przywiózł do Londynu narzeczonych, jej rodziców, siostry, szwagra, (książę Paweł przybył przed samym ślubem) i nowomianowaną damę dworu księżniczki Maryny, lady Mary Hope, a na stację Victoria w Londynie, pomimo fatalnej pogody i nieprzejrzanego mgły, przybyli, ażeby powitać swoją przyszłą synowę, Ich Królewskie Moście, książę Walii, książę Yorku z małżonką i inni członkowie rodziny królewskiej.

Kilka wielkich przyjęć dworskich na cześć księżniczki, ostateczne przygotowania przedślubne, oglądanie przyszłego domu w Londynie, wreszcie, *generalna próba*, tak, generalna próba ceremonjału ślubnego, gdzie urzędnicy ministerstwa dworu odegrali rolę wszystkich uczestników orszaku ślubnego, ażeby co do sekundy ustanowić można było każdy moment uroczystości, i nastąpił wielki, zaiste wielki i piękny dzień nie tylko dla narzeczonych, ale dla całego narodu, bo w tym mglistym kraju, w tej Anglii — ojczyźnie Szekspira, Shelleya, Byrona, Keatsa, i któż ich wszystkich przeliczyć?... — żyje taki kult dla miłości, taka tęsknota do obrazu wcielonego szczęścia, i taka żądza „*circenses*“, widoku królewskiego blasku i splendoru, jak nigdzie na świecie...



Królewska para angielska wraca po ceremonji ślubnej w Westminster Abbey do pałacu.

Tłumy poczęły zalegać place i ulice, przez które miały przejechać trzy orszaki: orszak króla i królowej, orszak księcia Walji, księcia Yorku i narzeczonego, orszak księżniczki Maryny, już od wieczora 28 listopada. Ze składanymi krzesłkami, termosami, pledami, rozsiadł się lud londyński, zajmując bezpłatnie pierwsze rzędy pod mżącym listopadowym deszczem... „Byłoby jutro nie padał, jakoś się tę noc przebiję”...

Ale ranek okazał się nielaskawy... Przestało wprawdzie mżyć, lecz nad ziemią zaczęły się unosić mgliste, opalowe opary... Na szczęście, nie była to gęsta, szaro-żółta mgła poprzednich dni, po przez którą nie można było widzieć przed sobą...

I miljonowy już koło dziesiątej rano tłum ujrzał to, na co tak cierpliwie czekał...

Usłyszał najpierw tętent podków gwardji przybocznej, ujrzał purpurę i złoto jeźdźców, ujrzał ich wielkie, niedźwiedzie czapy... I przejechała wolno złocista, o wielkich lustrzanych szybach starożytna karoca z hajdukami w czerwieni, siedzącymi w tyle z założonymi rękami, a wioząca króla Jerzego V-go i królową Marję... Znowu oddział gwardji, i zaraz po nich, wśród okrzyków tłumu, w pojazdach tego samego stylu przejechali królowie i królowe Danji i Norwegji, inne koronowane głowy...

Dwie minuty przerwy, i nowy oddział konnej gwardji zwiastował widzom zbliżenie się orszaku księcia Walji z braćmi... Wszyscy trzej są w mundurach marynarki, a sukno mundurów ich ginie pod konstelacją orderów, wstęg i odznaczeń... Znowu żywiołowe demonstracje mas... Przejechali, tak jak król i królowa, oddając ukłony wszystkim.

I znowu dwie minuty mijają, i jak szum fal rośnie i wzmacnia się głośny zrazu szepot, potem potężny krzyk z wszystkich piersi... „*Princess Marinal...*”

I jak w bajce, poprzedzona konnymi jeźdźcami, na tym londyńskim, szarym asfalcie zjawia się złoto-szklana karoca, a w niej prze-

ciudna postać... Na ciemnej głowce, korona z brylantów, i tylko dwie gałązeczki żywego pomarańczowego kwiatu przytrzymujące welon z boków wskazują, że to jedzie nie królowa z bajki, a żywa księżniczka na swój ślub... Jedzie z nią jej ojciec i jadą dwie damy dworu, ażeby ułożyć za nią jej sześciometrowy tren, i na nim welon...

Jeszcze chwila, a nawet zwarte kordony policji pieszej i konnej, nie będą w stanie utrzymać na miejscu szalejących mas...

Czapki lecą w górę, tysiące chusteczek powiewa w powietrzu, psuchoza jakaś, złożona z radości, że jest jeszcze na świecie miłość, że jest jeszcze szczęście, że oto jedzie ta miła, ta śliczna, ku upragnionemu szczęściu, ogarnia tłumy, każe im śmiać się, każe im płakać, każe im krzyczeć: „*God bless you!*” „*Good luck to you!*”...“

Ach, Anglijo!... Jakże wyjawiaś dzisiaj swoje piękne, szlachetne, romantyczne, jak cała twoja historia, i jak twoja nieśmiertelna poezja — oblicze...

Dokoła było wielkie, szare, kamienne miasto, mgła przesłaniała nieśmiało, blade promienie słońca, usiłujące ją przebić, ale na świecie było jasno, i ludzie zapomnieli o swoich bólach, o swoich krzywdach, o niepewnym jutrze — wobec czyjegoś szczęścia...

I nie tylko oni, którzy w przelocie ujrzeli księżniczkę, i nie tylko ci, którym dane było uczestniczyć w ceremonji ślubu, ale i ci wszyscy, — obliczonem jest, że mniej więcej 800 milionów ludzi, dzięki transmisji radiowej, co mieli możność słyszenia nabożeństwa i głosów ślubujących sobie narzeczonych, — przeżyli wzruszające, podniosłe wrażenia.

Żadne pióro nie opisze królewskiej „*grandeur*” tego historycznego ślubu w Westminster Abbey... Słowa są zbyt blade, ażeby dać choćby w przybliżeniu obraz sceny, mającej za tło tę kaplicę św. Piotra, gdzie nieraz w skrusze klęczał Henryk VIII-y, gdzie każdy kamień ma swo-

*) „Niech Cię Bóg błogosławi!” „Szczęścia!”

Jak wykonać cały szereg wykwalifikowanych modnych rzeczy, naucz Panie księżniczka p. t.:

„Artystyczne pikowanie”

w opracowaniu

T. GŁĘBOCKIEJ

cena 1 zł. 50 gr.

z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Do nabycia w Tow. Wydaw.

„B L U S Z C Z”

ją historję... A te szaty królewskie te klejnoty bezcenne, te głowy i rysy!...

Jest w tem wszystkim coś niesłychanie fascynującego... Niechaj to będzie przeżytkiem, ale to jest piękne, to ma wielki styl i rozmach...

Rytuał ślubny, psalmy, hymn narodowy, — wszystko to słyszeli wszyscy przez radio... Słyszał cały świat miękki, niski głos narzeczonej, i nieco drżący z początku głos narzeczonego...

Ceremonja ślubu skończyła się... Panna młoda, jak każda niemal panna młoda, odwracając się od ołtarza, rzuca się ku matce i tuli się do niej, i łzy płyną z jej jasnych oczów... Łzy szczęścia... To taki ludzki odruch... Może według etykiety należało najpierw podejść do królowej, ale nie... Matka jest pierwszą...

Dwie małe, ubrane jak lalki, druchny: Elisabeth, córeczka księstwa Yorku i mała lady Mary Cambridge córeczka siostrzenicy króla, zbliżają się do panny młodej, która już jest przy boku księcia Kentu (w nawiasie, — bardzo przystojnego i ogólnie kochanego) i unoszą za nią rąbek jej ciężkiego trenu...

Teraz czeka ich ceremonja wniesienia nazwisk swoich do odwiecznego, królewskiego rejestru ślubów,

**KAŻDY ŚWIATŁY POLAK – PIONIEREM. OŚWIATY:
UMIEJĄCY CZYTAĆ UCZY ANALFABETĘ!**

Oto zadania Miesiąca likwidacji analfabetyzmu. Wskazówki w Polskiej Macierzy Szkolnej, Warszawa, Krak. Przedm. 7.

a po nich podpiszą je król, królowa, i cała najbliższa rodzina.

Do złocistego pojazdu już wsiądzie teraz ze swoim małżonkiem młoda księżna Kentu, i razem odpowiedzą tłumom na wzmożone owacje... A potem czeka ich jeszcze drugi ślub podług grecko-katolickiego obrządku w kaplicy Buckingham Palace...

A potem uczta weselna. Na ten uroczysty dzień cała zastawa stołu jest szczerolota, i dekoracje stołów są utrzymane w kolorach biało-żółtych. Róże, lilje i mimoza.

Po owem „wedding - breakfast” (echo dawno minionych dni, kiedy przystępowano przed ślubem do Komunji, wcześniej, i pierwszy posiłek był pierwszym śniadaniem) ceremonia rozkrajania tortu weselnego (olbrzymiej konstrukcji, ważącej 800 funtów!) przez pannę młodą szablą księcia Kentu, rozdanie kawałków obecnym (rozesłaniem setek kawałków nieobecnym krewnym i przyjaciołom zajmie się cały specjalny sztab nazajutrz...) i przebranie się do drogi w podróż poślubną, w głąb Anglii, gdzie cudowna posiadłość „Himley Hall” jest oddana młodej parze na tak długo, jak zechcą z niej skorzystać...

I ta chwila szczęśliwa nareszcie nadchodzi... Księżna Kentu wsiada do salonu - wagonu przedzierzgniętego w wonny buduar... Z sufitu zwieszają się herbaciane róże... Okna obramowane są girlandami z białych goździków i fijołków...

Młoda kobieta jest w sobolowym płaszczu, zpod którego widać suknię koloru „pertamande”, na głowie ma śliczny kapelusz w tym samym kolorze... Jeszcze uściski, życzenia szczęścia, i pociąg, na który syją listki róż, i podkówki na szczęście, opuszcza stację Paddington...

I oto nareszcie, nareszcie są sami... Za parę godzin będą na miejscu, nikt, prócz służby, nie wyjdzie na ich spotkanie. Będą sami... Dokoła nich będzie wielka, kojąca cisza przerywana tylko szumem wielkich, starych drzew olbrzymiego parku, drzemiącego we mgle...

Teodora Drzewiecka.

Z ubiegłego tygodnia

Oskarżenie Jugosławji rozpatrzy Liga. — Łagodzenia i manifestacje. — Spadek po Barthou. — Noty o pakcie wschodnim. — Pokoju pragną wszyscy — ale różnią się w metodach.

Oskarżenie Jugosławji ma swój przyspieszony bieg. Do Ligi Narodów wpłynęło 50-cio stronicowe memorandum, które jest obszerniejszym i dokładniejszym omówieniem zarzutów, pomieszczonych uprzednio w nocie. W tej nocie, która wniosła w stosunki europejskie nie tylko wzburzenie, ale i bezpośrednie obawy — wojny... Już więc w pierwszych dniach grudnia mają być rozpatrywane te sprawy na forum Ligi. Należy tu natychmiast powiedzieć, że konflikt między Jugosławją a Węgrami zawiera momenty emocjonujące, więc tem groźniejsze i tem trudniejsze do rozstrzygnięcia. Niewątpliwie też wniesie obrona Węgier przeciw oskarżeniu o popieranie terrorystów — nowe szczegóły, może nawet niedalekie od rewelacji dla stosunków międzynarodowych, wytworzonych po wojnie światowej. Tyle jeszcze trzeba tu dodać, że czechosłowacki minister spraw zagranicznych, p. Benes, nie będzie przewodniczył podczas debaty Rady Ligi nad notami Jugosławji i Węgier. Wiadomo bowiem, że Czechosłowacja przyłączyła się całkowicie do noty jugosłowiańskiej.

Będzie to więc „wielki proces” w Genewie, poczem okaże się, czy Liga Narodów dorosła do swojego zadania. Oczywiście nie wolno ominąć gorliwych zabiegów mocarstw, które dokładają starań, żeby bądź to załagodzić konflikt, bądź też wyraźnie zmanifestować swoje poparcie dla jednej,

W rocznicę Powstania Listopadowego



W dn. 29 listopada Szkoła Podchorążych w historycznych mundurach defilowała przez Warszawę i objęła wartę w Belmederze i w Łazienkach. Na zdjęciu parada Podchorążych na Starem Mieście.

czy drugiej strony sporu. Bardzo wyraźnie oświadczają się więc Włochy za Węgrami, a Francja jednocześnie popiera i... mityguje swoją sojuszniczkę Jugosławię. W exposé francuskiego ministra spraw zagranicznych p. Laval, wygłoszonym w Izbie, nie trzeba nawet „czytać między wierszami“, że Francja jest tu trochę, jakgdyby między młotem a kowadłem. Od dłuższego czasu toczą się wszakże przyjaźniejsze rozmowy francusko - włoskie, ale porozumienie między temi państwami nie mogłyby dojść do skutku za cenę porzucenia Jugosławji, względnie całej Małej Ententy przez sojuszniczą Francję.

Francuski minister spraw zagranicznych wziął po tragicznie zmarłym min. Barthou nielätwy spadek. Były tam rozpoczęte prace, ożywione indywidualną inicjatywą zmarłego męża stanu. Laval nie potrafi być jedynie wykonawcą — ma również swoją inicjatywę i swoją własną interpretację stosunków europejskich. Nas obchodzi najwięcej — interpretacja t. zw. paktu wschodniego. Nasze uzasadnione zastrzeżenia wyjaśniają się właśnie we wzajemnych notach i nie należy wątpić, że Francja dziś już okaże zrozumienie dla naszych racyj.

Nie tu miejsce na scharakteryzowanie polskiej polityki zagranicznej ze wszech miar czujnej, a w swoich poczynaniach pokojowych logicznej i niezależnej. Czyż nie stało się tak, że dzięki rozumnej polityce Polski ubył w Europie niebezpieczny motyw: konflikt o t. zw. kurytarz? A pakt o nieagresję — czyż nie one wskazały na możliwości utrzymania pokoju, mimo niezadowolenia z postanowień pokoju wersalskiego? Polska właśnie znalazła wyjście z dylematu, który brzmiał: albo wojna, albo rewizjonizm. Na granicach Polski — wschodnie i zachodnie — kwestja rewizjonizmu przestała istnieć na długie lata.

Rzucamy tu te luźne uwagi raz jeszcze, bo sprawa paktu wschodniego, pomyślanego przez Francję, jest zagadnieniem dużej wagi dla naszej polityki zagranicznej. Poprostu chodzi tu o rozstrzygnięcie pro-

blemu, czy wielkie kompleksy sojusznicze mogą w sobie pomieścić — całą troskę o pokój Europy. Troska ta jest niewątpliwie celem polityki poczuwających się do wielkiej odpowiedzialności państw Europy, chodziłoby więc tylko o zróżnicowania metod, o uwzględnienie odmiennych koniunktur, a nie o stwarzanie szablonów pak- towych.

H. N.

UCZCZENIE CURIE - SKŁODOWSKIEJ

TOWARZYSTWO NAUKOWE CZCI
PAMIĘĆ MARJI CURIE-SKŁODOW-
SKIEJ.

Doroczne zebranie Warsz. Tow. Naukowego miało dwa punkty kulminacyjne. Jednym była bolesna skarga prezesa Tow. profesora Wacława Sierpińskiego na obcięcie 40 proc. przyszłorocznego budżetu na wydawnictwo i utrzymanie instytucji naukowych. Ten zaciemniający się horyzont najbliższych projektów Tow. Naukowego rozjaśnia pomyślny błysk. Oto Ministerstwo Oświaty przyznało budżet Pracowni Neurobiologicznej Towarzystwa, którą przez szereg lat utrzymywał z własnych funduszy jej zmarły niedawno kierownik, dr. Edward Flatau.

Druga część posiedzenia była całkowicie poświęcona uczczeniu ś. p. Marji Curie-Skłodowskiej, członka honorowego Tow., wynalazczyni polonu i radu, dwukrotnej lauretki Nobla. W pierwszym rzędzie zasiadły szanowne i sędziwe postacie: dwie siostry wielkiej Polki, panie doktorowa Bronisława Dłuska i Helena Szalajowa, oraz jej brat, doktor Józef Skłodowski z małżonką.

Prezes Towarzystwa, prof. Sierpiński wręczył rodzinie genialnej uczzonej medal pamiątkowy, specjalnie wybitny na Jej cześć. Jedną stronę medalu zdobi wizerunek wynalazczyni radu, okolony napisem: Marja Skłodowska - Curie — 7.X 1867 — 4.VII 1934. Na odwrocie widnieje napis:

„Pamięci swego członka honorowego Towarzystwo Naukowe Warszawskie 1934“, w otoku wiekopomnych dat: Rad 1898 i Polon 1898.

Poczem prof. dr. Czesław Białobrzewski wygłosił prelekcję p. t. „Życie i działalność naukowa Marji Skłodowskiej - Curie“.

Odżyły przed nami ważkie od wytężonej pracy badawczej i ciężkiej walki o byt umiłowanego dzieła, dzieje największej uczzonej współczesnej. Biedny pokój studentki, na mansardzie paryskiej kamienicy, ogrzany raczej niesłabnącym ogniem zapalu, niż tą garstką brykietów, które sama sobie musiała dźwigać na szóste piętro. A potem poznanie się z Piotrem Curie, małżeństwo dwojga uczonych, oparte na dajdoskonalszem zespoleniu się dusz i umysłów. Dzieje miłości i pracy w nędznej szopie, jedynym „gmachu“, w jakim dokonywali swoich pierwszych eksperymentów z ciałami promieniotwórczymi, do- kład, zmęczeni całodzienną pracą przycho- dzili nieraz na odpoczynek, aby w mro- kach wieczoru obserwować zapalające się ogniki, — lśnienie nowych nieznanych gwiazd na firmamencie nauki.

„Ta szopa była siedliskiem szczęścia i pokoju“ — pisze Curie - Skłodowska w swoich pamiętnikach. Wszystkie wyjątki z nich, przytoczone przez prelegenta, świadczą o tej wielkiej sile moralnej, która przez nadludzkie wysiłki, niezłomną wytrwałość, ascetyczne oddanie się wiedzy i najwzniolejszą bezinteresowność zapro- wadziła ją do zwycięstwa. Prelegent słusznie przytoczył zdanie Henryka Poincaré, że „życie uczzonego to pracowite marzenie“.

Marzenie Marji Curie - Skłodowskiej urzeczywistniło się. Głęboki patos czynu, uświęconego miłością nauki i ludzkości, bije trwałym blaskiem z tego podwójnie promieniotwórczego żywota.

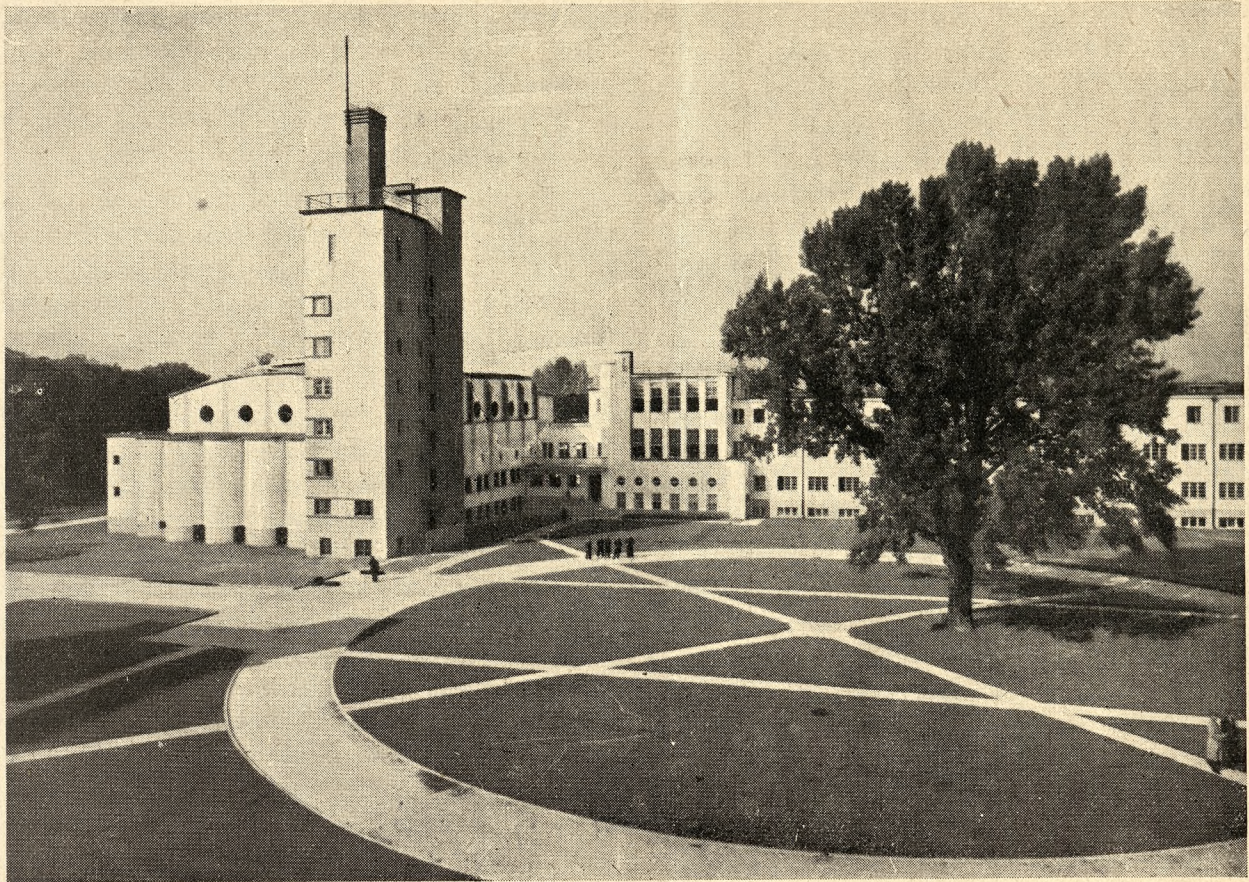
Piękna i wyrazista głowa Curie - Skłodowskiej, odlana z brązu (świetne dzieło Nitschowej) z gęstwiny zieleni wynurzała się nad zebraniem, jak jej czujna i wiecz- nie żywa myśl twórcza.

S. P. O.



Uroczyste posiedzenie doroczne Tow. Naukowego, dla uczczenia ś. p. Marji Curie-Skłodowskiej. W pierwszym rzę- dzie siostry i brat zmarłej uczzonej.

Wychowanie fizyczne i sport



Centralny Instytut Wychowania Fizycznego na Bielanych.

Centralny Instytut Wychowania Fizycznego

Co to jest właściwie CIWF? Spotykam się często z pytaniem, świadczącym, że ogół nie bardzo wie, jakie podstawić pojęcie pod ten dźwięczny i popularny skrót.

Większość, jak się okazuje wyobraża sobie CIWF, jako wyłączny przybytek sportu i gimnastyki, skąd po ukończeniu kursu wychodzą w świat szeregi osobników o mocnych nogach a słabej głowie.

Opinię tę należy coprędzej skorygować. Centralny Instytut Wychowania Fizycznego zarówno ze względu na swe cele jak i dotychczasową działalność, zdobył sobie w szerokim świecie autorytet poważnej uczelni, która, jako wzór tego rodzaju instytucyj, jest zwiedzana przez cudzoziemców, podziwiających urządzenia techniczne, organizację i rezultaty dokonanych prac.

C. I. W. F. powstał w roku 1929 z inicjatywy p. Marszałka Piłsudskiego. Celem i zadaniem podstawowym tej instytucji jest stworzenie odpowiednich kadr nauczycielskich i instruktorskich w dziedzinie wychowania fizycznego.

Obecnie Instytut rozwija normalną pracę w trzech kierunkach: badawczym, dydaktycznym i wychowawczym. Uczelnia ta jednak daleka jest od skostnie-

nia w raż obranej formie. Postępuje ona wciąż naprzód, zarówno w doskonaleniu programów wyszkoleniowych jak i montowaniu zakrojonej na szeroką skalę pracy badawczej.

Pracownicy Rady Naukowej W. F. stworzone w gmachach CIWF-u, przeprowadzają naukowe badania zagadnień z dziedziny wychowania fizycznego, pozatem zaś służą celom dydaktycznym i wychowawczym.

Prace tych gabinetów ogłaszane są drukiem, przyczyniają się do rozszerzenia, pogłębienia i spopularyzowania wiedzy z dziedziny, która w życiu państw doby obecnej odgrywa tak doniosłą rolę.

Istnienie szeregu znakomicie nawskroś nowoczesnie urządzonych zakładów naukowych w CIWF-ie gwarantuje słuchaczkom i słuchaczom najwyższy poziom wiedzy fachowej i zapewnia szerokie horyzonty rozwojowi intelektualnemu.

Jakież są to zakłady? Gmach główny CIWF-u mieści ich aż dziesięć. A więc jest tam Zakład Anatomji, wraz z salami wykładowymi i do ćwiczeń praktycznych oraz muzeum, zaopatrzone w szereg pierwszorzędnych preparatów.

Istnieje też Zakład Fizjologii, gdzie przeprowadza

się systematyczne badania i prace eksperymentalne w zakresie wpływów ćwiczeń fizycznych na organizm ludzki. Doświadczenia dokonywane są w czasie gimnastyki i sportów (tętno, rytm oddechowy, ciśnienie krwi i t. p.).

Podobnie w zakresie swej specjalności pracuje Zakład Antropologii i Biologii, gabinet Fizyki i Chemii.

Zakład Psychologii Doświadczalnej i Psychotechniki prócz swej działalności dydaktycznej i naukowej, ma na celu dokonywanie selekcji kandydatów do C. I. W. F.-u na podstawie stosowania testów inteligencji i wiadomości oraz prób sprawności psychometrycznej.

Gabinet Terenoznawstwa zbiera materiały doświadczenia, zarówno w gmachu C. I. W. F.-u jak w terenie i na obozach letnich.

W Zakładzie Foto opracowuje się metody i technikę zdjęć filmowych w dziedzinie sportów, oraz prowadzi się ścisłą współpracę z Zakładem Rentgenologicznym w zakresie jego badań eliminacyjnych, klinicznych i prac doświadczalnych.

Wreszcie Dział Lekarski, rozciągając skrupulatną kontrolę i wielce troskliwą opiekę nad słuchaczami, opracowuje jednocześnie szereg tematów lekarsko-sportowych.

Instytut mieści ponadto obszerną Bibliotekę, liczącą ponad 3 tys. dzieł, prócz czasopism i broszur. Tak więc słuchacze i słuchaczki C. I. W. F.-u nie mogą się skarżyć na brak strawy umysłowej.

Wszystkie te zakłady obejmuje Gmach Główny

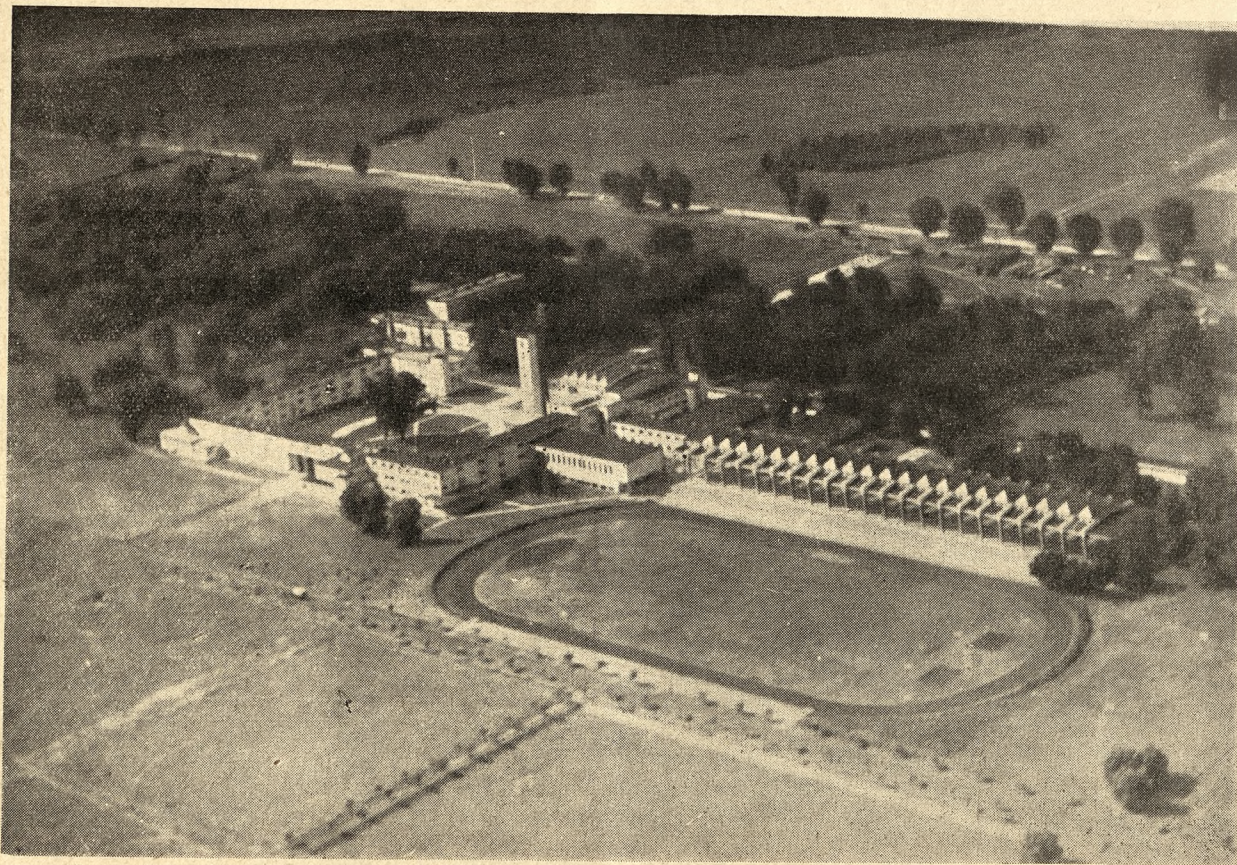
Instytutu. Oddzielny kompleks stanowi Internat Żeński. Słuchaczki mieszkają w dwuosobowych pokojach z małą łazienką. Nowoczesne urządzenie jasnych wnętrz, zdobnych kilimami i zielonością, w niczem nie odbiega w nastroju od domu rodzinnego. To też mieszkanki Internatu czują się tam znakomicie, są niezmieranie do C. I. W. F.-u i swego bytu życia przywiązane i rozstają się ze swym otoczeniem po dwuletnim lub jednorocznym pobycie z prawdziwym żalem.

Przyjemnie jest patrzeć na smukłe i mocne postacie „Cifiarek“, w sportowych skromniutkich ubraniach; twarzyczki tych panienek jaśniej zdrowiem i radością życia. Oprawdają zwiedzających z dumą, wielką życzliwością i z humorem istot szczęśliwych.

C. I. W. F. stoi na starannie wybranym i mądrze rozplanowanym terenie bielańskim. Zzewnątrz Instytutu otaczają zieleńce, boiska i korty. Wnętrze mieści, obok powyżej omówionych gabinetów naukowych, sale wykładowe, świetlice, sale gimnastyczne bogato wyposażone we wszelkiego rodzaju przyrządy, dużą pływalnię w stadium budowy i najpiękniejszą na świecie, choć jeszcze niewykończoną halę lekkoatletyczną, w której trenowała biegi w czasie swego pobytu w Instytucie gwiazda sportu polskiego, Stella Walasiewiczówna.

Kompleks główny obejmuje również internat męski i kasyno.

Obszerne, jasno oświetlone wnętrza C. I. W. F.-u uderzają nowoczesnością i ścisłym przystosowaniem do zadań i celów Instytutu. Wszystkie urządzenia odpow-



Ogólny widok Instytutu, stadionu i najbliższego otoczenia.

wiadają tu wymaganiom najnowszej techniki i higieny.

Surowość ścian łagodzi starannie w srebrne ramki ujęte zdjęcia, wykonane w przeważnej części przez słuchaczy C. I. W. F-u, a w świetlicach i pokojach mieszkalnych wesoło pstrzą się kilimy. Jasne sprzęty, rośliny w szerokich oknach, wszystko to nadaje wnętrzem Instytutu cechy pogody i komfortu.

Miejsce w C. I. W. F-ie jest na każdym kursie 30 dla kobiet i 40 dla mężczyzn. Egzaminy i badania wstępne są bardzo trudne i dokładne. Kandyduje stokilkadziesiąt osób, dostaje się zwykle połowa. Najważniejsze jest, czy kandydat przejdzie przez komisję lekarską. Zdrowie to pierwszy warunek do uzyskania dyplomu wychowawcy fizycznego, gdyż zarówno kurs szkolenia jak i późniejsza praktyka zawodowa wymagają wytrzymałości, odporności organizmu.

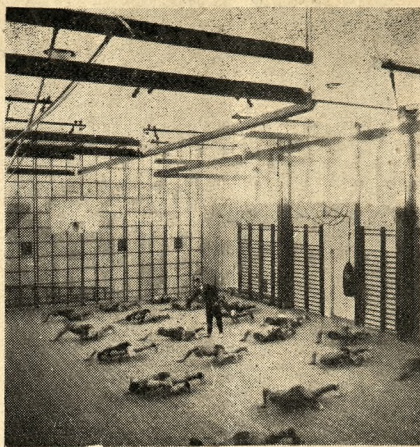
Po badaniach wstępnych kandydaci wyjeżdżają na t. zw. obóz eliminacyjny, który daje nową selekcję materiału, będąc próbą zaradności, hartu i sprawności. Kurs w C. I. W. F.-ie trwa rok lub dwa.

Wiedza teoretyczna na kursie 2-letnim obejmuje cały szereg arcymądrych przedmiotów teoretycznych. Warto je wyliczyć, aby raz na zawsze wzbudzić u ogółu szacunek dla wiedzy „Cifiarzy”. A więc w skład programu wchodzi: fizyka i chemja, anatomja (opisowa mechanika ruchów), biologja i antropologja, higiena, pomoc doraźna i ratownictwo przeciwgazowe, masaż higieniczny, fizjopatologja rozwoju dziecka, psychologja (ogólna i wychowawcza), pedagogika, socjologja, terenoznawstwo i urządzenia stałe w. f. i p. w. oraz sprzęt, metodyka, systematyka i dydaktyka, a wreszcie teoria w. f. i sportów, historia w. f. i umuzykalnienie. Mam wrażenie, że po wyliczeniu tych mądrości jedne z czytelniczek osiwieją, a inne, te, które marzą o C. I. W. F-ie głęboko się zastanowią i zbadają swoje chęci wobec tak groźnych perspektyw. Sądzę jednak, że sami słuchacze i słuchaczki C. I. W. F-u szybko osiwieli, gdyby nie to, że połowę czasu nauczania przeznaczono mądrze na zajęcia praktyczne. Mają one na celu wyrobienie sprawności osobistej przez gimnastykę i sport, jak również wpojenie zamiłowania do wycieczek, obozownictwa, prowadzenia zespołów dziecięcych i harcerstwa.

W skład zajęć praktycznych wchodzi sporty, jak lekka atletyka, sporty wodne i zimowe, strzelectwo, łucznictwo, boks i szermierka (dla panów), gry sportowe, ruchowe i polowe, zabawy, a wreszcie obozownictwo, wycieczki, harcerstwo, obrona i ratownictwo oraz przysposobienie wojskowe.

Młodzież C. I. W. F-u spędza szereg tygodni letnich na obozach w Brasławiu, zimą zaś przebywa na narciarskich kursach i wycieczkach po całym kraju.

Z tego wynika, że wiedza teoretyczna i praktyczna, jaką się nabywa w C. I. W. F.-ie jest niezmiernie wszechstronna i daje maximum tego, co może być w praktyce wychowawcy fizycznego potrzebne.



Ćwiczenia w pełzaniu.

Tyle o nauce w C. I. W. F-ie. Po ukończeniu kursu absolwenci zostają wchłaniani przez szkoły, stowarzyszenia społeczne, posiadające w swym programie wychowanie fizyczne i wreszcie przez kluby. Jak dotąd zapotrzebowanie wychowawców fizycznych i instruktorów jest duże. Mimowoli jednak narzuca się pytanie, co będzie z chwilą, gdy się rynek niemi nasyci? W obecnej chwili obaw wszakże o bezrobocie wśród tych kadr nauczycielstwa nie ma. Słuchaczki i słuchacze zarobkują już w czasie studjów, często w ten sposób opłacając naukę i in-

ternat, co wynosi miesięcznie 120 zł. „Cifiarze” prowadzą zespoły gimnastyczne i sportowe i zdobywają w ten sposób samodzielność i praktykę w swoim zawodzie.

Wobec tak ścisłego wypełnienia czasu, podziwu godna jest aktywność wewnętrznej organizacji na terenie Instytutu, a mianowicie Bratniej Pomocy. Działa ona w kierunku samopomocowym, oświatowym, społecznym, sportowym i towarzyskim. Organizacja ta stanowi mocną spójnię i więź wewnętrzną między wychowankami C. I. W. F.-u.

Pięknym przykładem pracy społ. Br. Pom. C. I. W. F.-u jest stała opieka nad szkolną działalnością „Zdobyczy Robotniczej”, dla której organizuje się zabawy, święta i zakłada drużyny harcerskie. Bratnia Pomoc prócz tego współpracuje stale z tow. „Opieka”, a na obozowiskach w Brasławiu organizuje półkolonie dla okolicznej dziatwy i prowadzi wśród tamtejszej kresowej ludności pożyteczną, intensywną pracę kulturalno - oświatową.

Sekcja towarzysko - artystyczna urządza na terenie Instytutu i obozach przedstawienia amatorskie, akademje, bale, wspólne święta, organizuje wycieczki, ogniska obozowe i imprezy sportowe. Życie kulturalno-oświatowe koncentruje się w bibliotece i świetlicach, zaopatrzonych w czasopisma, odbiornik radjowy, patefon i komplety gier.

Tak więc wychowankowie C. I. W. F.-u nie mają czasu się nudzić; pędzą oni żywot pracowity, a zarazem i urozmaicony, otrzymując znakomitą wiedzę fachową, intensywne wyrobienie fizyczne i wzmocnienie konstytucji organicznej, a prócz tego kształcą swój charakter i zażywają wysoce kulturalnych rozrywek.

Kontakt z życiem całej Polski utrzymuje C. I. W. F. dzięki wypożyczaniu terenu, pomieszczeń i instruktorów dla całego szeregu obozów eliminacyjnych i kursów sportowych z różnych dziedzin, organizowanych zwykle w związku ze zbliżającymi się imprezami europejskimi lub światowymi.

Z podanego tu całokształtu działalności C. I. W. F.-u do wiadomości ogółu i ewentualnych kandydatów, można śmiało wypowiedzieć wniosek, że nigdzie tak wspaniale, jak właśnie w naszym C. I. W. F.-ie nie została zrealizowana w całej pełni mądra, stara maksyma „W zdrowym ciele, zdrowy duch”.

Irena Pamska.

„Krzewimy wśród kobiet kulturę fizyczną”

Wychowanie fizyczne stało się dzisiaj jednym z działów ogólnego wychowania współczesnego człowieka. To też prawie wszystkie stowarzyszenia w programach swych w mniejszym lub większym zakresie kładą nacisk na wyrabianie sprawności fizycznej swych członków. Nie trudno jest zachęcać do uprawiania sportów i organizować zespoły ćwiczebne dla młodzieży, czy nawet dorosłych, zgrupowanych w różnego typu zrzeszeniach, a więc ujętych pewną dyscypliną.

Elementem zupełnie biernym na obijającą się o uszy propagandę kultury fizycznej, są liczne rzesze kobiet nigdzie niestowarzyszonych. Pochłonięte pracą zawodową, zarobkową czy też choćby tylko prowadzeniem domu, jedne uważają sport i gimnastykę za wyłączny przywilej młodości, inne boją się przemęczyć swój organizm, zniszczyć cerę, nadmiernie wyrobić mięśnie. Nierzadko też jeszcze spotyka się opinię, że sport to próżna strata czasu i niepotrzebne wymysły. Wszystkie te kobiety nie zdają sobie sprawy, ile nowych wartości wniesie do ich codziennego dreptania w ramach miejsca pracy i domu choćby tylko dwie godziny ćwiczeń tygodniowo. Zdrowotne znaczenie ruchu fizycznego polega na wyrównywaniu ujemnych czynników, płynących z nieracjonalnego trybu nowoczesnego życia. Sport i gimnastyka są odrębnym źródłem przyjemności, zaspokojeniem potrzeby ruchu, którą się zatracą po wielu latach nieruchliwego, biernego życia. Dla osiągnięcia radosnej przyjemności, płynącej z uprawiania ćwiczeń cielesnych, należy przez pewien czas przełamywać się i zmuszać, aby wyleczyć się z gnuśności ciała i pobudzić pierwotną wrażliwość.

Palącą koniecznością stworzenia instytucji, mającej na celu czynne propagowanie kultury fizycznej wśród szerokich mas kobiecych, zrodziło się w toku swej pracy powstałe w marcu 1935 roku *Towarzystwo Krzewienia Kultury Fizycznej Kobiet*. Stowarzyszenie to o wyraźnym zakresie działalności, nie rywalizujące z innymi, łączy lekarki, nauczycielki, instruktorki i wszystkie inne działaczki na polu wychowania fizycznego, celem stworzenia wspólnego frontu na całokształt zagadnień kultury fizycznej kobiet.

Wszystkie organizacje kobiece, mające w swym programie wychowanie fizyczne, współpracują z T. K. F. K. Pomimo krótkiego okresu istnienia, powstał już szereg lo-

JEDWABISTĄ, MATOWĄ CERĘ



zachowa Pani, stosując płyn SIMI, który nadaje cerze świeżość i urok młodości, usuwa wagi, przysusza i zmarszczki oraz odłuszcza skórę.



kalnych oddziałów Towarzystwa we Lwowie, Krakowie, Wilnie, Toruniu, Częstochowie, Mińsku Maz. i Tomaszowie Lub.

Tow. K. K. F. K. wykazało wydatną pomoc w akcji „wychowania fizycznego dla robotnic fabrycznych” zainicjowanej przez Państwowy Urząd W. F. i P. W. i Ministerstwo Opieki Społecznej. Udatnie zorganizowany w kwietniu kongres, poza propagandą, umożliwił zebranie wiele materiału do dalszej pracy.

Ciekawe wyniki przyniesie prawdopodobnie ankieta „Dlaczego uprawiam sport” i „Dlaczego nie uprawiam sportu”. Przeszło sześć tysięcy druczków poszło w świat do różnego typu kobiet. Wyniki jej zostaną opublikowane, a na podstawie ich będzie można wysnuć odpowiednie wnioski i zakresić szersze plany działalności.

Dla szukania nowych dróg i ciągłego pogłębiania pracy Towarzystwo zamierza wysłać swe instruktorki do państw obcych. Najbliższy projekt to zebranie w Rosji danych o prowadzeniu wychowania fizycznego w sowieckich fabrykach.

Lato, okres największych możliwości dla propagandy wych. fiz. Towarzystwo wypełnia szeregiem obozów wypoczynkowych dla pań z inteligencji pracującej. W letnich miesiącach r. b. odbyły się cztery obozy w Druskiennikach, Truskawcu, Ciechocinku i na Huculszczyźnie w Krzyworówni k/Żabiego, w których ogółem wzięło udział około 250 pań. Duże zniżki kolejowe, niskie opłaty za utrzymanie na obozie, udostępniły wielu pracownikom biurowym, nauczycielkom i paniom domu spędzenie urlopu w pięknej i zdrowej okolicy, w miłej atmosferze, w warunkach 100 procentowego wykorzystywania powietrza, słońca i wody.

W okresie zimowym Towarzystwo prowadzi komplety gimnastyki, plastyki, zaprawy lekkoatletycznej, narciarskiej, naukę pływania oraz kursy narciarskie.

Ruchliwa działalność Towarzystwa pobudzi niewątpliwie zainteresowanie kobiet do gimnastyki i sportu i wniesie ożywienie w monotonię ich codziennych zajęć domowych.

H. I.

NIEDZIELNY WYPOCZYNEK POZA OBREBEM WARSZAWY.

organizuje Towarzystwo Krzewienia Kultury Fizycznej dla wszystkich kobiet, pragnących w końcu tygodnia wyrwać się z koła obowiązków codziennych, odetchnąć świeżym powietrzem i spędzić sportowo niedzielę.

Wyjazd z Warszawy do ładnej, zdrowej okolicy podmiejskiej, odbywać się będzie pod kierunkiem instruktorki W. F. w każdą sobotę po południu. Wieczór sobotni będzie poświęcony rozrywkom towarzyskim, niedzielę będzie się spędzać sportowo: gimnastyka, gry, wycieczki, narty, ślizgawka i t. d. Powrót do Warszawy w niedzielę wieczorem.

Wyjazdy w sezonie zimowym są projektowane do Radości, gdzie już Towarzystwo zamówiło sobie pensjonat. Koszt pobytu w pensjonacie łącznie z wyżywieniem, przejazdem kolejowym i opieką instruktorską zł. 7.—.

W week-endach mogą brać udział rodzi-ny zgłoszonych pań.

Zapisy w każdym tygodniu przyjmuje do czwartku włącznie Sekretariat Towarzystwa, Myśliwiecka 3/5, tel. 985-40 w godzinach biurowych.

CZAR ZIMY DAJE POZNAĆ TYLKO NARCIARSTWO — UCZMY SIĘ JEŹDZIĆ NARTACH.

Towarzystwo Krzewienia Kultury Fizycznej Kobiet organizuje w nadchodzącym sezonie narciarskim następujące kursy:

W Głębcu k/Wisły na Śląsku Cieszyńskim. 10. I. — Kurs dla początkujących; zakwaterowanie w pensjonacie. Opłata za kurs (mieszkanie, utrzymanie i nauka jazdy) 55 zł. plus 5 zł. wpisowego.

Zgłoszenia przyjmuje sekretariat Towarzystwa, Myśliwiecka 3/5, tel. 9-85-40, do dn. 15. XII. r. b.

W Zwardoniu — w marcu, kurs dla początkujących i zaawansowanych. Koszt kursu 10-cio dniowego 45 zł.; 14-to dniowego 65 zł.; wpisowe i zgłoszenia, jak wyżej.

W Głębcu k/Wisły na Śląsku Cieszyńskim — w czasie od 4. II. do 15. II. dla początkujących i zaawansowanych. Koszt 50 zł. wpisowe, jak wyżej.

Zgłoszenia przyjmuje sekretariat T. K. F. K. Oddział Lokalny, ul. Lampy 7 m. 8.

Na wszystkich kursach obowiązuje posiadanie własnych nart. Uczestnikom kursów przysługuje 82% zniżka w kl. III poc. osobowego w obie strony.

Z teatrów

„Typ A” Marji Morozowicz-Szczepkowskiej w Ateneum.

Po dramatycznej „Sprawie Moniki”, po programowej „Milczącej sile” Szczepkowska dała nurka w groteskę. Czy ten skok był objawem naturalnej reakcji, odprężeniem nerwów po długotrwałym nastawieniu na baczność przed postulatami społeczno-obyczajowymi? A może autorka uległa rewizjonistycznej pokusie. Uwiodła ją przekorna chęć przenicowania sytuacji, spojrzenia na kompleks zagadnień zukosa, pod kątem satyry i parodji?

Istotnie, w „Typie A” uderzamy się o odwrócony stosunek obu płci. Dotychczas tak zwykle bywało, że mężczyzna był Pigmaljonem, uwodzicielem, finansistą, dyskontującym swe „dobrodziejstwa” wobec kobiety świadczeniami w naturze z jej strony.

Tutaj mężczyzna jest Galateą, obiektem eksperymentalnym, ofiarą wyzysku i natrętnej miłości, które znosi w imię swoiście pojętej dżentelmenerii (dług wdzięczności za uratowane życie).

Ten nieco teoretyczny i dodajmy mocno fikcyjny punkt wyjścia doprowadza w praktyce do całego łańcucha krótkich śpięć groteskowego humoru. Autorka nie cofa się przed jaknajdalej idącymi konsekwencjami swego założenia. Wiadomo, że kobiety są najkrańcowszymi istotami na świecie, i gdy sobie na co raz pozwolą, lubią nazywać wszystko po imieniu.

Szczepkowska zarówno w swojej ideologii, jak i w efektach scenicznych jest radykałką. Reformy zaczyna od chłosty. Tym razem delikwentem nie jest mężczyzna. Ostrze satyry zeslizgnęło się po tym bezzadnym i bezrobotnym buntowniku, który tylko biernym zmarznięciem w cudzej bramie umiał zaprotestować przeciw niezasłużonej krzywdzie.

Natomiast publicznej egzekucji poddane zostały dwie intelektualistki: uczona, teoretyzująca na temat stworzenia nowego typu człowieka drogą selekcji, i malarka, czyhająca na żer dla swojej sztuki i swoich zmysłów. Na jednej i na drugiej zemści się ich własna spaczona kobiecość, zamaskowana i przytłumiona naukowością u jednej, kabotynizmem u drugiej. Ani jedna, ani druga nie umie zdobyć się na prawdziwe, bezpośrednie uczucie. Chwytają upragnionego mężczyznę w potrzask materialnej zależności i mózgowych argumentów. Szczerą, naprawdę ofiarną i bezinteresowną miłością zapłonęła do niego tylko biedna prostytutka.

Dziwić się należy, że wobec takiego zdykwalifikowania intelektualistek w wyścigu miłosnym, wobec przerzucenia na barki mężczyzny całego ciężaru współżycia i światła dodatknych, właśnie ze strony męskiej krytyki posypały się gromy oburzenia w imię moralności, cnoty, dobrego smaku, estetyki. To, co się czytało dotychczas w pismach o „Typie A”, to nie były oceny, krytyki czy sprawozdania, to były ataki bezsilnej irytacji. Nie gorszono się tak mocno ani pornograficzną sceną w



Helena Gruszecka w roli „Uczonej” w „Typie A” (Fot. M. Bil.).

„Ludziach z hotelu”, ani obrzydliwymi załotami epileptyka w „Ciężkich czasach” Bourdeta, jak sceną pozowania „typu A” do postaci Apollina. Tak częste, niestety, a nie zawsze potrzebne rozbieranie się kobiet na scenie znieczuliło już dostatecznie w tym kierunku wrażliwość krytyki i publiczności. Okazało się jednak, że autorka, która ośmieliła się kazać mężczyźnie rozbierać się — choćby za parawanem, a potem ukazać się na scenie w draperji nieporównanie sutszej i estetyczniejszej od normalnego kostiumu atlety cyrkowego, lub od powszechnie przyjętych trykotów kąpielowych, nie może liczyć na bezstronność męskiej krytyki.

Świat męski poczuł się dotknięty boleśnie tem lekceważeniem męskiego ciała i potępił sztukę.

A tymczasem „Typ A” jest niewątpliwie dobrą groteską, lepszą od wielu swojskich i obcych farsidel, wystawianych na naszych scenach i z pobłażliwą dobroćliwo-

ścią klepanych po ramieniu przez recenzentów.

Koncepcja inscenizacyjna autorki polega na tem, że scena podzielona jest na dwie części i akcja toczy się naprzemian w gabinecie uczoney i w sąsiadującej z nim pracowni malarki. Proscenjum odgrywa rolę korytarza, przez który w miarę potrzeby przechodzą osoby, zdążające do jednego lub do drugiego mieszkania. Tę koncepcję dekoracyjnie dobrze rozwiązała Roszkowska, przewyciężywszy szczęśliwie płytkość sceny Ateneum. Reżyserja spoczywała w wytrawnych rękach Zofji Modrzewskiej, która nadała sztuce właściwe tempo i zacięcie. Z wykonawczyń trzech ról najbardziej przekonującą w swem mózgowem zacietrzewieniu była Gruszecka, jako uczona. Parysiewiczówna za dużo wniosła do typu malarki tej samczej leniwej tępoty, do której przywykła w „Meczu małżeńskim”. Ucharakteryzowana była doskonale na skośnooką wampiryzę, ale między nią, a postacią, którą odtwarzała, brakowało jakiegoś ogniwa, któreby te dwie istoty zespoliło w jedną. Kryńska jest b. ładna, załadna i zawykwiłtna na rolę zawodowej prostytutki. Suszyński doskonale kipiał bezsilną wściekłością i buntem przeciw kobiecej przemocy, a kontrast jego imponującej budowy z drobną i zaszuszoną figurką uczoney był źródłem nadprogramowego komizmu. Biegański raz tylko przeszedł przez proscenjum, ale w paru zdaniach, jakie wypowiedział, czuć było rasowego aktora.

S. P. O.

Z życia ekranu

(Gdzie Rzym — gdzie Krym! — Nana — znowu wstyd!).

Powiedzenie „gdzie Rzym — gdzie Krym” daje się świetnie zastosować do filmów amerykańskich, i to nawet — dosłownie. Rzymskie damy na przyjęciu u cezara zachowują się, jak na współczesnym „fixe’ie” („Kleopatra”), nadwołańscy kozacy śpiewają po hiszpańsku („Pieśń Kozaka”), a na peters-



Parysiewiczówna, Kryńska i Surzyński w „Typie A”.

(Fot. M. Bil.).

burskim dworze carowej Elżbiety, widzimy rzeźby, przypominające... pomniki Chopina w Warszawie („Imperatorowa“). Z takich spotkań „Rzymu i Krymu“ na terenie hollywoodskich wytwórni, wychodzą rzeczy czasem groteskowe mimowoli, a czasem wesołe świadomie, jak naprz. „Rzymskie skandale“, gdzie w sposób dowcipny przeprowadzono analogię między amerykańskim miasteczkiem, zwanym Zachodni Rzym, a starożytnym Rzymem, z końcowym wnioskiem, że tu i tam dygnitarze miejscy i państwowi popełniali takie same... nadużycia. Satyra ta ma trochę ofenbachowskiego zajęcia, a chociaż niektóre „gagi“ obliczone są raczej na zmysł humoru publiczności amerykańskiej, ostatni epizod jest tak dowcipny i, w pełnym znaczeniu tego słowa, kinowy, że dla niego jednego choćby warto film zobaczyć. Bohater, uciekający na rzymskiej kwadrydze, w obawie upadku, przybił do niej swe sandały gwoździami; kwadryga rozbija się w kawałki, a bohater pędzi dalej, na dwóch pozostałych deskach, jak na nartach i w ten sposób wyjeżdża w... rzeczywistość, gdyż tamto był tylko sen. Rewja, tym razem, mniej ciekawa, niż w pierwszym filmie Eddie Cantora „Urwis z Hiszpanji“, jest prezentacją zespołu pięknych girls, występujących zawsze z nim razem, a clairowska scena — instalowanie się pod gołem niebem mieszkańców dzielnicy, która ma zostać zburzona — daje pole Cantorowi do wykazania, że jest nie tylko świetnym komikiem, ale też doskonałym kuplecistą.

Satyryczny podkład ma też miła komedyjka reż. M. Geringa „Księżniczka przez 30 dni“, w której wysmiano słabość Ameryki do europejskich koronowanych głów oraz wrażliwość na tytuły i ordery, słowem — na choroby, którym najłatwiej ulegają społeczeństwa demokratyczne. Zwłaszcza początek filmu odznacza się pewną oryginalnością w nawiązywaniu intrygi i

dowcipem dialogu. Dalej, akcja toczy się już według utartego schematu, ale ze względu na grę Sylvi Sydney, całość można zaliczyć do udanych filmów rozrywkowych.

Rzadko się zdarza, ażeby ten sam temat został, prawie jednocześnie, opracowany przez dwóch reżyserów i ukazał się od razu w dwóch wersjach. Jeszcze dobrze pamiętamy „Katarzynę Wielką“ (red. Czunięra i Kordy) z Elżbietą Bergner, a już nam pokazują amerykańskie wydanie, w reżyserji Sternberga, z Marleną Dietrich („Imperatorowa“). Oba te filmy obejmują nawet ten sam okres życia Katarzyny — od chwili przybycia na dwór rosyjski, do objęcia przez nią władzy, po zamachu stanu. Ale w europejskim filmie punkt ciężkości stanowił „romans“ Katarzyny, będącej oryginalną koncepcją scenarzysty, gdy tymczasem scenarzysta „Imperatorowej“ zdaje się być bliższy prawdy historycznej i pokazuje nam nie tylko naiwną księżniczkę, lecz kobietę, którą obyczaj, panujące na dworze, zdążyły zdeprawować, kobietę, świadomą swego uroku... samicy i władczyni. O wiele bliższy prawdy historycznej jest ten Piotr III — kretyń, tchórz i okrutnik, nie mogący nawet w najszlachetniejszej dziewczynie wzbudzić innych uczuć, prócz wstrętu i pogardy. Jednakże w oddaniu przytłaczającej atmosfery tego dworu, gdzie



Marlena Dietrich w „Imperatorowej“.

z pod pudrowanych peruk, wygląda najsurowsze barbarzyństwo, Sternberg nie tylko przesadził, ale dał się unieść fantazji: jakieś dziwaczne rzeźby, stłoczone w cesarskich komnatach, rzekome prymitywy mocno trące secesję, jakieś „siedziszczą“, zamiast foteli i ciężkie malowane wrota, zamiast drzwi — to już zbyt makabryczne i koszmarnie nawet na Rosję. Przecież to wielki dwór i wiek XVIII! Natomiast cudownie wypadł obraz cerkwi podczas ślubu: wschodni przepych i bizantyjska hieratyczność, kregi światła, na tle ciemnego sklepienia, migotliwe płomyki świec, złote lśnienia ścian i materji — oto właściwe Sternbergowi stwarzanie nastroju.

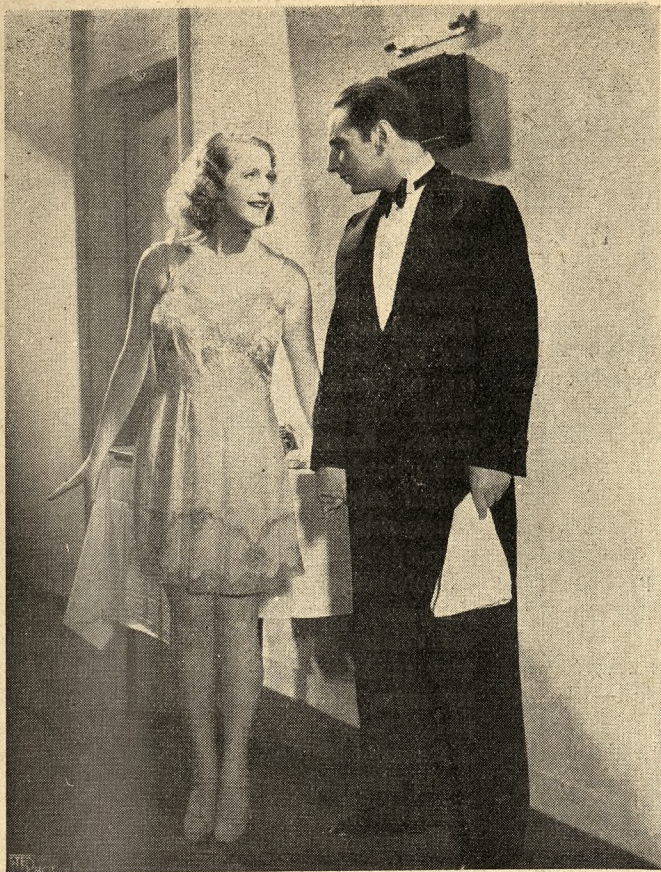
W filmie jest kilka takich epizodów, w których reżyser używa gry światła, jako głównego składnika kompozycji (naprz. twarz Marleny za siatką welonu, oświetlona płomykiem świecy, rogaty cień na drzwiach, prowadzących na tajne schody i t. p.).

W całości jednak, jest to film znacznie słabszy od europejskiej „Katarzyny“, film, który nazwałbym barokowym — tyle w nim niepokoju, patosu i przesady, obok scen zrobionych pierwszorzędnie (jak ów ślub).

A teraz przejdźmy do prawdziwego Petersburga, pokazanego w filmie sowieckim „Petersburskie noce“ (reż. Rossall), który został nagrodzony na międzyn. konkursie kinematografji, w Wenecji. Wyróżnienia tego nie należy brać zbyt dosłownie; rozdawano je według klucza... politycznego, dbając o to, ażeby nikt z uczestników nie poczuł się dotknięty, a że wśród każdej



Scena z filmu „Rzymskie skandale“.



Scena z filmu „Co mój mąż robi w nocy“.

grupy filmów poszczególnych krajów, można było znaleźć coś godnego pochwały, więc w rezultacie byli sami zwycięzcy. „Petersburskie noce”, niewątpliwie, mają swoje zalety, o których mowa będzie niżej, ale też posiadają wady, obniżające wartość tego filmu, zwłaszcza w oczach polskiego widza, dla którego przedwojenna Rosja nie jest takim egzotykiem, jak dla widza zachodnio-europejskiego. Temat byłby bardzo zajmujący, gdyby został ujęty od strony psychologicznej, a nie... klasowej. Dzieje genialnego skrzypka i kompozytora, który nie tylko nie wybija się, ale pozostaje całe życie w ukryciu i nędzy, podczas gdy miernoty robią kariery, jakże to bardzo odbiega od stereotypowych losów ekranowych bohaterów-muzyków! Ale w „Petersburskich nocach” winę za niepowodzenia bohatera składa się na... burżujów, z których nikt, ani wśród oficjalnych sfer muzycznych, ani wśród mecenasów, nie poznał się na jego sztuce. Zrozumieli ją jedynie studenci-rewolucjoniści i robociarze-skazańcy polityczni (rzecz dzieje się w poł. ub. stulecia). Takie nastawienie tworzy sceny irytująco naciągnięte (naprz. epizod na koncercie, który zresztą pod względem technicznym wypadł znakomicie).

To też scenariusz, który z początku przedstawia się bardzo ciekawie, pod względem środowiska i zarysowujących się konfliktów (obywatel ziemski, utrzymujący własną orkiestrę i mający władzę udzielnego księcia), w miarę posuwania się akcji, gmatwa się, pokazuje wieloznaczny tendecji, wreszcie nudzi. To samo dotyczy reżyserji, nie umiejącej utrzymać jednolitego tempa, które w połowie

filmu słabnie i zamiera, czemu dopomagają jeszcze aktorzy, sztuczni, skandujący każde słowo i celebrujący każdy gest.

Za to rewelacją jest strona dźwiękowa filmu, nadzwyczaj subtelne dźwiękowo - muzyczne połączenie scen, które zachwycą każdego muzycznego widza. Naprz. wycie wiatru, brzęk dzwonek, tony skrzypiec tworzą jedną, nieprzerwaną melodię, przechodzącą w brzmienie całej orkiestry. Pierwszorządnie przed stawiają się też zdjęcia pełne nastroju, białe noce nad Newą, ciekawe podejścia i ujęcia twarzy ludzkich i architektury, kompozycje o znaczeniu malarzkim i symbolicznym, co zresztą już nieraz podziwialiśmy w filmach sowieckich.

„Nana” (wg. Zoli) interesuje nas, ze względu na to, że wyreżyserowała ten film kobieta (Dorota Aersner) i że główną rolę gra Anna Sten, przed kilku laty, rewelacja filmu rosyjskiego.

„Nana”, jako konflikt dramatyczny, jest już dla nas czemś zbyt odległym i przebrzmiałym, ażeby naprawdę wzruszać. To też oglądamy tego „vampa” z epoki drugiego cesarstwa tak, jak muzealny zabytek historyczno - obyczajowy, przede wszystkim z zaciekawieniem. Anna Sten kiedyś świetna w „Żółtym paszporcie” i „Braciach Karamazowych” (film zrobiony w Berlinie), w swej pierwszej kreacji amerykańskiej raczej straciła niż

zyskała. Straciła właśnie to, co ją wyróżniało z szeregu innych gwiazd, gdyż w Ameryce zdążyli ją już „zestandardyzować”, a nawet „zmarlenizować”. Jest ładna, pełna wdzięku i utalentowana (pokazała to w scenie śmierci), ale niepotrzebnie każą jej pokazywać z profilu firankowe rzęsy i śpiewać niskim głosem, à la Marlena. Ten występ Nany w kabarecie jest też piętą Achillesową reżyserji; odbiega od stylu całego obrazu, w którym epoka drugiego cesarstwa oddana jest z całym pietyzmem, nie tylko w kostiumach i dekoracji, ale w atmosferze, co jest najtrudniejsze. Reżyserja Doroty Aersner, utrzymana na poziomie raczej wysokim, nie wprowadza jednak do filmu nie indywidualnego. Widocznie, nie nadszedł jeszcze czas, kiedy reżyserki potrafią wnieść do sztuki filmowej coś nowego i swojskiego kobiecego. Na razie, chodzi tylko o dorównanie mężczyznom. Pod tym względem, Dorota Aersner już dawno zdała egzamin celujący.

W krajowej farsie „Co mój mąż robi w nocy” nie zabawiają nas ani satyra, ani kinowemi trick’ami, ani wdzięcznymi ewolucjami tanecznymi, widocznie polski literat (Anatol Stern, autor scenariusza) uważa, że naszej publiczności powinny wystarczyć odwieczne nieporozumienia małżeńskie, zakończone w gabinecie restauracyjnym, z kanapą, pod i na której się leży, oraz kompletem najstarszych rekwizytów farsowych. W tym wypadku, trudno winić producenta: zwrócił się przecież po scenariusz do literata, co świadczy o większych ambicjach. Anatol Stern ambicje te zlekceważył, pisząc scenariusz nie tylko nie lepszy, ale znacznie gorszy od utworów, nie pochodzących z tak wysokich progów. Reżyser, nie chcąc widać zakasować scenarzysty, też nie siłił się na inwencję; ten, komu się podoba taki film, może go oglądać w byle jakiej formie. W sumie znowu film dla sklepikarzy i maglarek — te się uśmieją, moja pani, o retyle!.. Stef. H.



Scena z „Nany”. W roli tytułowej Anna Sten.

Przegląd Prasy

W I. K. C. z dnia 23 b. m. W. Raort w artykule p. t. „Dwie bolączki“, porusza palącą sprawę dla naszego społeczeństwa, mianowicie sprawę hyperprodukcji grafomanji, w postaci różnych niechlujnych wydawnictw książkowych, wydawanych i rzucających masowo na rynek księgarski:

Jeśli kupisz litr mleka, a mleko jest fałszowane, to masz prawo babę, która ci to mleko sprzedawała, oddać w ręce policjanta. Na fałszerzy masła, margaryny, pieprzu, wina, czy cykorji — są ostre paragrafy karne. Za fałszywą wagę traci się czynne i bierne prawo wyborcze; za fałszywą wagę bułek, czy chleba wygotowuje się doniesienie karne, a za fałszywy weksel wędruje się wprost do kryminału.

Dlaczego więc fałszowanie wartości duchowych, jakie bezsprzecznie powinna zawierać każda książka, sprzedawana za drogie pieniądze — jest zupełnie bezkarne?

Do kogo i gdzie ma się zwrócić człowiek, który, kupiwszy za 7 do 8 złotych książkę w księgarni, stwierdza, że został w najhaniebniejszy sposób oszukany, że „nabitą go w butelkę“ i że zakpiono z niego w żywe oczy?

Co ma począć człowiek, który po przeczytaniu kilku rozdziałów stwierdza, że wpadł w sidła niebezpiecznego manjaka, grafomana z pod najczarniejszej gwiazdy, psychopaty i degenerata, na którego usprawiedliwienie chyba to jedno można dodać, że nie umie wcale pisać po polsku i że od dzieciństwa walczył ciężko z losem i... ortografją?

Na miły Bóg! Coś trzeba jednak z tym fantem zrobić! Nie można przecież dopuścić do tego, aby nas zalano najgorszą i najgłępszą w świecie lekturą, obliczoną na haniebny wyzysk i niezaradność czytelnika!

Szewe, który zrobi nam kiepskie buty, stolarz, który spartaczy nam stół, krawiec, który sfuszeruje nam ubranie — są obowiązani do zwrotu zadatku, lub muszą dostarczyć nam przedmiotów, odpowiadających nam i zdalnych do użytku.

Tak się przynajmniej praktykuje, jeśli się ma do czynienia z solidnym szewcem, krawcem czy stolarzem. Rzecz zupełnie zrozumiała, że ludzie ci dbają o swoją reputację dobrych rzemieślników. Doszli bowiem do swoich warsztatów, ciężką, żmudną pracą, przebyli w terminie długie lata, mają patenty i zostali przez fachowców wyzwoleni na samodzielnych majstrów. Dopiero wtedy mogli produkować na własną rękę, a produkując, starają się pozyskać klientelę.

Jakie kwalifikacje, jaką pracę, jaki wreszcie miernik wartości tej pracy posiada producent grafomańskich powieści i romansów, wydawanych masowo w Polsce? Kto go upoważnił do tego?... Czy wydawca, który przeważnie kupuje tę makulaturę za grosze i dobrawszy do takiej ohydy pornograficznej tytuł i świńska okładkę, rzuca ją na targ dla naiwnych?

PROPAGANDA KULTURY POLSKIEJ W U. S. A.

P. S. Szumska dała ciekawy artykuł w „Polsce Zbrojnej“, w którym pisze o propagandzie nowej kultury przez *Marję Wertenstein*, która własnymi siłami urządziła w wielkim muzeum brooklyńskim wystawę sztuki polskiej i przemysłu ludowego.

Wystawa ta, oprócz stu obrazów najlepszych malarzy, oprócz zbiorów grafiki i grafiki użytkowej, kompletów naszych przodujących szkół artystycznych, zdobnictwa i drukarstwa zawierała przedmioty sztuki ludowej z różnych stron Polski.

Na akcję propagandową złożyły się jeszcze odczyty i wykłady o sztuce i historii polskiej, publikacje w prasie, przemówienia przez radio oraz wędrownie wystawy.

Z pracą p. Wertenstein oraz z wystawą, przez nią otwartą, związana jest ciekawa historia kursów p. Pratt.

Przybywszy lat temu kilka do Polski zetknęła się p. Pratt z p. Wertenstein, wówczas, kierowniczką fabryki zabawek ludowych, którą zapoznała ją ze skarbami kultury, muzyki, tańców i obyczajów góralskich.

Rozentuzjasmowana Amerykanka w roku następnym sprowadziła z za Oceanu do Zakopanego zastęp uczennic, u których kurs rysunków i malarstwa folklorystycznego, prowadzony przez p. Wertenstein miał ogromne powodzenie. Uczennice kursu, Amerykanki, przeważnie nauczycielki, stały się po powrocie do Ameryki najlepszymi emisariuszkami propagandy na rzecz Polski.

Miss Pratt urządziła również w Ameryce kursy dla tych, którzy za ocean wybrać się nie mogli.

Sprowadzała kolejno do Ameryki kierowniczkę z Europy, między nimi p. Wertenstein, która zabrała ze sobą kolekcję wytworów przemysłu ludowego, celem urządzenia wystawy. Powodzenie tej wystawy wędrowniej, połączonej z określoną wystawą grafiki, skłoniło odnośne czynniki do przeniesienia jej na teren Nowego Jorku.

Jest nadzieja, że akcja rozpoczęta pójdzie dalej raz wytkniętym torem i będzie pożyteczną a zczasem nawet stałą instytucją na terenie Ameryki.

„Kurjer Poranny“ z dn. 2/XI w dziale dialogów muzycznych umieszcza odpowiedź p. M. J. Wielopolskiej na temat muzykalności Polaków.

— „Nie umiemy śpiewać, nie umiemy weselić się wspólnie. Umiemy co najwyżej przytupywać obcasami, gdy grają, czy śpiewają inni“ — pisze p. Wielopolska.

„Niechby p. M. J. Wielopolska posłuchała na naszej Czerniakowskiej na której mieszkam, jak pijacy, wracający o 2-iej nad ranem, podśpiewują sobie na całe gardło: „Już taki jestem zimny drań!“ W domu ma taki jeden żonę z suchotami,

oraz gruźliczych dzieci sześciorgo, a siódme „w drodze“ i mimo to... taki już jestem zimny drań, najdonioślejszym tenorem lub basem!

Dzieci w szkole, dzieci z oddziału pierwszego, zapytane przez nauczycielkę: co umiecie zaśpiewać „z domu?“ odpowiedziały prawie wszystkie zgodnie, sprawnie, bdszpiewaniem: „Już taki jestem zimny drań!“ niektóre wymawiały nawet: dlań... Dawniej roczniki młodsze śpiewały: Barbarę, Pannę Annę, Rebeke, Publiczki, Nasza jest noc, Pani dziś jest bez koszulki i t. p. Teraz w modzie Bodo. Natomiast pieśni Noskowskiego, Moniuszki, Maszyńskiego, Kazury przyjmowane są przez dzieci bardzo niechętnie i opornie, co na swoich zebraniach stwierdzają wszyscy nauczyciele śpiewu z całego terenu Rzeczypospolitej. Dzieci wolą szlagiery“.

Spółcześnie, śpiewa z błędami Hymn Narodowy, z nawyku jedną strofkę Boże coś Polskę, no i szlagiery; w kościołach uszy puchną od fałszów; na Eucharystycznym Kongresie w Dublinie polska pielgrzymka, tak fatalnie zaintonowała „Serdeczna Matko“..., że „skończyło się na wcale nieprzyjemnych dysonansach i wydzieraniu się paru śmielszych“.

Wydzieramy się bez zrozumienia treści i bez zrozumienia uczuciowego. Kiedy np. parę tygodni temu zapytałem grupę starszych harcerzy, śpiewających: „dalej bracia do bułata! co znaczy „bułat“? — nie wiedzieli. Śpiewali tylko „tak sobie“, żeby im się lżej szło.

TROCHĘ HUMORU

Przytaczamy kilka dowcipnych anegdotek z działu „Co w trawie piszczy“ w „Expressie Porannym“:

MOJ I WASZ.

Pewien warszawianin przyjechał do Paryża. Znał dobrze to miasto i nie był w nim już przeszło rok. Wsiada do taksówki i każe się z bulwaru Montparnasse wieźć w okolice Place Etoile.

Szofer widząc cudzoziemca postanawia go nabrać. Jedzie więc najdalszą drogą jaką może wynaleźć. Warszawianin pragnąc się przywitać z Paryżem, nie oponuje. Zajeżdżają na miejsce. i wówczas Polak mówi do szofera:

— Mais vous ne connaissez pas votre Paris... (Ależ pan nie zna pańskiego Paryża).

Chwila milczenia a potem pada odpowiedź:

— On tak moj Pariz, kak wasz...

P E C H.

Działo się to przed wojną, w Niemczech, w małym uniwersyteckim mieście.

Młody podówczas student, a dziś znakomity pisarz, uczony i popularyzator nauki, słowem Bruno Winawer, mieszkał u pewnej dobronudusznej Niemki, która dawała mu olbrzymie porcje jedzenia i zamartwiała się, jeśli ich nie konsumował do szczętu.

Zdarzyło się raz, że Winawer dostał olbrzymią porcję klusek i zbuntował się. Nie chcąc robić przykrości swojej gospodyni, zawinął kluchy w gazetę i wyszedł na miasto. Stawiając nad rzeką, cisnął paczkę do wody.

Niestety, zauważył to policjant. Obawiając się, że w paczce była bomba, ostrożny przedstawiciel władzy kazał spuścić służę na rzece i zaarrestował Winawera. Nic nie pomogły tłumaczenia. Policjant nie chciał wierzyć, że w paczce są kluski.

Paczkę wyłowiono, ale jednocześnie mimo usilnych błagań Winawera, żeby tego nie robić, posłano po jego gospodynię. Biedna, dobroduszna Niemka poznała swoje kluski.

Moment konfrontacji był podobno jednym z najprzykrzejszych przeżyć Brunona Winawera.

Nasza mównica

Z ŻYCIA MŁODZIEŻY WIEJSKIEJ.

Echa wycieczki.

W numerze 46-tym „musiał” nasz kochany tygodnik wciąż mówić o niewiastach kresowych, chciałabym, aby w następnym numerze opowiedział „Bluszcz” coś niecoś o naszej młodzieży wiejskiej, która zorganizowana w Koła Młodzieży, Ochotniczą Straż Pożarną i Strzelca, coraz poważniejszy udział bierze w życiu wsi. O dzisiejszych ideach o pracach polskiej młodzieży opowiem kiedy indziej, dziś chciałabym opisać to, co dziś było, aby szerszy ogół zainteresował się tem, jak doniedawna przysłowiowy „zahukany Poleszok” reaguje na zupełną dla niego nowość: podróże, zwiedzanie kraju. Dziś wrócili z podróży pod hasłem „Włóczenie na Śląsk”, Wasyl Łagodziuk i Wasyl Kłapoc, członkowie Koła Młodzieży i Straży Ogniowej wsi Derewna (18 — 24 lata). Wrócili zachwyceni! to nie dziwne, ale wrócili zadumani, poważniejsi! Wycieczka, prócz balastu wrażeń, dała im coś... dla duszy i serca, co każdemu pamiętać i myśleć. Dla siebie i dla mnie robili notatki od pierwszej chwili trwania wycieczki, aż do powrotu. Mimo, że znam ich dobrze i wiedziałam, że dużo skorzystają, musiałam podziwiać akuratność i dobrą wolę notowania nawet w trzęsących ciężarówkach, które ich po stolicy obwoziły.

Wycieczka, prowadzona doskonale! Zwiedzanie miast i fabryk w tak krótkim czasie dużo jednak dało korzyści! Jedzenie doskonałe, podróż wygodna, noclegi dobre! Wyrazy uznania organizatorom wycieczki!!

A teraz trochę wrażeń moich chłopców: „Wszędzie witaly nas i żegnały orkiestry, przy dźwiękach muzyki chodziliśmy, jedli i bawili się. Najbardziej nam się podobała orkiestra smyczkowa górników w Hucie Królewskiej w dziwnych i b. ładnych strojach. Oprawdzali nas i tłumaczyli w miastach wojskowi, w fabrykach i kopalniach urzędnicy i robotnicy.



**Oszczędna
gospodyni
pamięta zawsze, że
porcja OVOMALTINY
do śniadania kosztuje
tylko 10 groszy**



**OVOMALTINA wzmacnia,
dodaje siły i energii.**

W Warszawie największe i bardzo smutne wrażenie wywarło na nas zwiedzanie Cytadeli; oglądanie szubienic, mogił powstańców i więźniów politycznych, bramy straceńców, gdzie rząd rosyjski wieszał i rozstrzeliwał Polaków za patriotyzm i dążenia wolnościowe; widzieliśmy drzewo całe podziurawione od kul z zamurowanymi otworami, aby nie uschło. Widzieliśmy też karetkę więzienną, w której Marszałek Piłsudski wyrotał 10-ciu skazańców z Pawiaka, gdy przebrany w mundur generała rosyjskiego, kazał ich wydać w więzienia, niby na stracenie do Cytadeli, a po drodze odbił ich strażom i uciekł z nimi! Bohaterstwo Marszałka zrobiło na nas wielkie wrażenie, to też serca nasze mocno biły, gdyśmy pod Belwederem hołd mu składali. Wyszła do nas Pani Marszałkowa, bo Marszałek był niezdrow.

Zwiedzanie Zamku, wspaniałe sale, obrazy, tron, berło i miecz koronacyjny, obraz „Batory pod Pskowem” na całą ścianę i inne cuda zachwyciły nas i zajęły parę godzin czasu; poczem złożyliśmy na dziedzińcu zamkowym hołd Panu Prezydentowi, który wyszedł do nas w otoczeniu panów wojskowych i cywilnych, przemawiał do nas i obchodził wszystkie nasze szeregi z serdecznym uśmiechem.

Z Warszawy wyjechaliśmy 11-go wieczór, a o godz. 5-ej rano dojechaliśmy do Częstochowy. Zwiedziliśmy klasztor, mury obronne, stacje drogi krzyżowej, ku-

te w kamieniu, widzieliśmy wieżę 105½ m. wysoką i pomnik ks. Kordeckiego, który, na czele małej garstki wojska i zakonników, ocalił Częstochowę od całej armii szwedzkiej. Byliśmy na nabożeństwie w Kaplicy Matki Boskiej. I nabożeństwo, i cudowna muzyka ogromne na nas zrobiły wrażenie.

Z Częstochowy do Huty Królewskiej jechaliśmy przez okolice pełne fabryk, zadymione, nieprzyjemne (Poleszok nie lubi fabryk). W Hucie zwiedziliśmy fabrykę żelaza, widzieliśmy wyrób koksu, dostawanie węgla, szyb św. Barbary i kuznię elektryczną, która nam się ogromnie podobała.

Kraków, dokąd pojechaliśmy z Huty, bardziej nam się podobał od Warszawy. Wawel wspanialszy od Zamku warszawskiego i wszystko w nim zachowało się tak, jak było za dawnych czasów. Małeńka, najdawniejsza kapliczka, której model jest pod szkłem w jednej z sal; starodawne tajnie przez Bolesława Chrobrego budowane, sale ze ścianami pokrytymi arrasami (i to zapamiętali) odwieczne urządzenia i meble, starożytne uzbrojenia, kościół Marjacki, ołtarz, rzeźbiony przez Wita Stwosza, Sukienice i inne starożytne budowle bardzo nam się podobały. A wieczorem, gdyśmy senni po mieście chodzili, co w Warszawie z powodu wielkiego ruchu, było niepodobniństwem, zachwyciły nas ulice, całe w ogrodach, śliczne drzewa, na których pełno ptactwa i wiewiórek (to pewno były planety, ale chłopcy chodzili sami i nikt im tego nie objaśnił).

Z łalem wyjeżdżaliśmy z Krakowa! Żebyż to w każdym ciekawym mieście choć tydzień pobýć!!

Do Moście przybyliśmy o godz. 10-ej rano. Zwiedziliśmy fabrykę nawozów sztucznych, wysłuchaliśmy uważnie objaśnień p. Dyrektora, dostaliśmy broszurki i woreczki z próbami nawozów, zwiedziliśmy elektrownię, a po obiedzie wyjechaliśmy naszym pociągiem z powrotem do Brześcia. Szkoda, że jechaliśmy w nocy! Tyle jeszcze ciekawych rzeczy i okolic możnaby po drodze zobaczyć! Gdyby dziś zaraz pozwolono nam jechać na wycieczkę, tobyśmy piechotą do Brześcia polecieci!!

Tak zakończyli chłopcy swoje opowiadanie. A przecież tylko co piechotą ze stacji po błocie przyszli!

Od wielu lat mam do czynienia z ludem poleskim i coraz bardziej go lubię i szanuję. Coraz ciekawsze i szersze możliwości otwierają się w pracy z nim! Mnie chłopcy przywieźli na pamiątkę doskonale robione i bardzo obszerne notatki, z których małą część wyżej opisałam i... medalik Matki Boskiej z Częstochowy! Skąd? (chłopcy prawosławni) wiedzieli, że tem mi największą zrobią przyjemność? Odpowiedzi trzeba poszukać w głębi napozór prostej, a jednak b. skomplikowanej duszy chłopca poleskiego.

Zofja Zawadzka.

Prezeska Koła Młodz. Wiejskiej w Derewnej.

Kobieta w świecie i w domu

PODARUNKI ŚLUBNE DLA MŁODEJ PARY ANGIELSKIEJ.

Urny na lzy i diamentowe pantofle.

Greckie wieśniaczki, które pozostały wierne królewskiemu domowi greckiemu, także i w dobie republiki, postanowiły dać księżniczce Marynie specjalny dowód swej pamięci i przywiązania. I oto posłały jej małe, ręcznie malowane urny, które bynajmniej, jak stwierdza pismo ofiarodawczyń — nie mają służyć do ozdoby jakichś serwantek, czy też stołów biesiadnych, lecz przeznaczone są na „ciche, szczęśliwe godziny“, aby łowić „lzy radości“ pięknej księżniczki Maryny i strzec po wsze czasy jej szczęścia.

Księżniczka Maryna była szczerze wzruszona, odbierając rozmaite dary ze swej ojczyzny. Wśród wielu przesyłek z Grecji nadeszły również wspaniałe pantofelki, zasiane diamentami, z wyspy Krety, przedstawiające wartość wieluset tysięcy drachm. Pantofelki te mają swoje specjalne imiona: Lewy nosi dumne miano „Ate-ny“, prawy zwie się „Kopciuszek“ (aluzja do małych nóżek księżniczki Maryny). Żona księcia Kentu otrzymała ponadto niezliczoną ilość ręcznie haftowanych, greckich kostjumów narodowych, barwne szale, przepięknie malowane chusteczki na głowę i t. p.

Guziki — jako maskotki.

Wśród darów ślubnych, otrzymanych przez księżną parę, a przedstawiających olbrzymią wartość, znajdują się również podarunki od „maluczkich“, którzy także chcieli w ten sposób złożyć hołd i życzenia szczęścia młodej parze. W galerji wystawionych prezentów ślubnych mieszczą się różne... zardzewiałe podkowy, zużyte naparstki, zardzewiałe gwoździe, siedmiokrotnie święcone monety srebrne i... guziki od ubrań. Wszystko to mają być „maskotki“, które zapewnić mają szczęście młodej parze.

Fundusz Jerzego.

Wiele dziesiątek tysięcy funtów napłynęło już na t. zw. „Fundusz Jerzego“. Subskrypcję na ten fundusz otworzyło — jak wiadomo — siedmiu najwybitniejszych Jerzy w Anglii dla uczczenia ślubu księcia Jerzego. Pieniądze te przeznaczone są na wsparcie dla ubogich i chorych, aby i oni w ten sposób uczestniczyć mogli w radości, w której żyje dwór angielski.

Pewien angielski inwalida wojenny, który chciał się przyczynić do tego funduszu, jak wspominaliśmy, nadesłał jednego szylinga z listem, w którym doniósł: „Kocham Cię, którego mi zastrzelono w czasie wojny we Flandrii, nazywał się Jerzy. Dla jego pamięci posyłam i ja mego szylinga na „fundusz Jerzego...“ Pewna znów żebra-

ka irlandzka nadesłała monetę srebrną 3-pensową „aby i wydziedziczony biedak mógł pobłogosławić młodą parę“.

*Jakie kraje złożyły się na „patryjotyczny“
tort weselny.*

Olbrzymi wysoki na 5 m. „4-piętrowy“ tort weselny (którego reprodukcję podawał „IKC.“) przygotowany na ucztę weselną, a zawierający w sobie sześć złotych „maskotek“: naparstek, obrączkę ślubną, monetę, gołąbka, osiołka i guzik od ubrania, miał być symbolicznym przejawem płomiennego patryjotyzmu Anglików. Ani jedna ingredencja w owym torcie, nad którym cukiernicy pracowali przez trzy miesiące, nie mogła pochodzić z nie angielskiego kraju. Kanada przysłała na ów tort mąkę, Australia owoce i cukier trzcinowy, Jamajka i Ceylon korzenie, Szkocja masło a Anglia jaj. Trzej artyści, którzy ozdobili tort „cukrowymi malowidłami“ pochodzą jeden z Anglii, drugi z Walji, trzeci ze Szkocji. Srebrna podstawa na której spoczywa „tort weselny“ zrobiona została przez złotnika londyńskiego ze srebra, ofiarowanego na ten cel przez Walję. Tylko dwie koncesje przyznano ojczyźnie księżniczki Maryny: architektoniczna budowa tortu utrzymana była w stylu greckim, a wśród owoców, wmieszanych w tort, znalazły się rodzynki przysłane z Grecji.

Jedna godzina kosztowała 100,000 funtów.

Statystycy angielscy ustalili, iż wstrzymane w czasie przejazdu orszaku weselnego ruch tramwajów miejskich, straż policyjna, dekoracje miasta, oświetlenie katedry westminsterskiej, wystawienie trybun, łącznie z robotami, które trzeba będzie wykonać dla przywrócenia wyglądu ulic do normalnego stanu, kosztować będą okragło 100,000 funtów szterlingów.

W olbrzymią tą sumę nie są wliczone koszty uczt weselnej dla 800 osób, przyjęcia dla dalszych 1400 gości i inne wydatki dworskie, które będą pokryte z prywatnej szkatuły króla Jerzego V.

SZKOŁA MATEK.

Niemieckie „szkoły matek“ są różnego typu: wędrownie i stałe, organizujące cykle wykładów i zajęć praktycznych, dalej praktyki i wykłady dla matek przy przedszkolach, wreszcie „Kluby matek“, odbywające zebrania referatowo-dyskusyjne co miesiąc. Ten typ rozpowszechniony jest bardzo w Ameryce pod nazwą „Stowarzyszenie rodziców i nauczycieli“.

Na konferencji rady naczelnej gospodarczego kształcenia kobiet (26 ub. m.) p. Strasburgerówna wysunęła projekt, aby koła absolwentek różnych szkół, a przede wszystkim gospodarczych, urządziły systematycznie na zebraniach tygodniowych cykle wykładów z zakresu kształcenia matek.

JAK NALEŻY ROBIĆ KARIERĘ.

Młoda Lili Nielson, córka stolarza z Kopenhagi, zrobiła naprawdę bajeczną karierę. Ze zwykłej duńskiej mieszcзки zaawansowała na królową wschodniego państwa.

Lili, chociaż była córką stolarza, ukończyła gimnazjum, a następnie wyjechała na kurs języka angielskiego, zorganizowany dla cudzoziemców przez uniwersytet w Cambridge. Tu poznała urodziwego Malajczyka, księcia Ozair, następcę tronu minjaturowego królestwa, leżącego na pograniczu Sjamu.

Przyjaźń młodych ludzi wkrótce zamieniła się w szczerą, głęboką miłość. Książę Ozair nie uznawał kastowych przesądów. Młodzi zaręczyli się. Malajski książę kształcił się w Anglii, doskonale mówi po francusku, po niemiecku i po włosku, a w ostatnich czasach nauczył się po duńsku. Jest bajecznie bogaty: posiada szereg pałaców, liczne zastępy służby, wspaniałe samochody, wprost fantastyczne kolekcje brylantów.

Młoda panna Nielsen udaje się wkrótce w drogę do Amsterdamu, skąd odbędzie samolotem podróż do Batawji, a stamtąd uda się do stolicy państwa swojego narzeczonego, miasta Alor Star.

250-LECIE NAPARSTKA.

Na bieżący rok przypada 250-lecie naparstka.

Wynaleziony został przez pewnego złotnika holenderskiego, Mikołaja Van Benschoten, który wymyślił go, aby ochronić od ukłóć igły palce damy swojego serca. Było to w roku 1684, a ukochaną wynalazcy była panna Myrfrenna Van Reussalaer, bliska krewna Rembrandta.

Naparstek pani Van Reussalaer wywołał zachwyt jej przyjaciółek. W ciągu następnych dwóch tygodni złotnik Van Benschoten otrzymał setki zamówień na wykonanie takiego samego naparstka. Zmuszony był nawet wywiesić na murach miasta afisze, w których ogłosił, że gotów jest zaangażować kilkunastu zdolnych rzemieślników, umiejących czytelować w złocie, gdyż pierwsze naparstki robiono ze złota.

Pomysłowy złotnik szybko dorobił się znacznej fortuny. Wynalazek jego przeszedł wkrótce do Francji i Anglii, a potem do wszystkich krajów świata.

Obecnie najpiękniejsze naparstki są wyrabiane w Chinach, gdzie im nadają kształt małego kwiatu lotosu, wyrzytego z kości słoniowej lub w jaspisie.

LOT PANI LINDBERG.

Żona słynnego lotnika dokonała wycieczki sportowego, lecąc z New - Yorku przez Labrador, Grenlandję, Islandję, Anglję, kontynent europejski, aż do Moskwy. Stąd

śmiała lotniczka wyruszyła na południowo - zachód i powróciła do New - Yorku po pokryciu olbrzymiej trasy: Bałkany, Włochy, Marokko, Dakar, Brazylja, Haiti, terytorjum Stanów Zjednoczonych.

Lindberg towarzyszył żonie, ale pozostawił jej kierowanie samolotem i wytyczanie trasy.

SPUŚCIZNA PO WIELKIM PROZAIKU.

Oktawja Głowacka, żona wielkiego prozaika Bolesława Prusa, ofiarowała w dniach ostatnich na rzecz Polskiej Akademii Literatury kilkanaście tomów powieści i nowel Bolesława Prusa, szereg tłumaczeń Faraona na obce języki, oraz kilka innych dzieł z biblioteki pisarza. Ponadto oddała p. Prusowa Akademii portret powieściopisarza, wykonany przez artystę malarza Kamieńskiego.

M. DĄBROWSKA W ZAGRZEBIU.

W związku z pobytem autorki „Nocy i dni” p. Marii Dąbrowskiej w Zagrzebiu, urządziło „Ognisko Polskie” wieczór dyskusyjny na temat kolonii polskiej w Jugosławii. W obecności Dąbrowskiej, konsula generalnego polskiego oraz wielu członków Ogniska i gości Jugosłowiańskich wygłosił odczyt p. R. Kowalik na temat powstania i obecnego położenia kolonii polskiej w Jugosławii.

DRZEWO CURIE-SKŁODOWSKIEJ W NOWYM JORKU.

W Nowym Jorku odbyła się uroczystość zasadzenia drzewa ku czci Curie-Skłodowskiej. Czynności tej dokonał burmistrz miasta, w obecności licznych przedstawicieli świata politycznego, artystycznego i naukowego oraz wielotysięcznej rzeszy dzieci szkolnych i młodzieży uniwersyteckiej.

Burmistrz nowojorski wygłosił mowę, kończąc ją słowami:

— Imię wielkiej uczzonej utrwalone będzie w Nowym Jorku nie tylko na brązowych i marmurowych tablicach wmurowanych w szpitale i uniwersyteckie mury, lecz również w szumie listowia tego kasztana. Drzewo jest chyba najpiękniejszym pomnikiem ku czci człowieka: żyje bowiem.

W przyszłości odległej, gdy amerykańskie dzieci będą się bawiły w cieniu drzewa Curie - Skłodowskiej, dowiedzą się, że ongiś — w archaicznej już epoce samochodów, o żółwiej szybkości 120 kilometrów na godzinę, epoce burzliwych wstrząsów i kryzysowych kłopotów, żyła wielka Polka, która genjusz swój i serce oddała w służbę ludzkości.

PIERSIEŃ KRÓLOWEJ KLEOPATRY.

U wybrzeży Egiptu, niedaleko Aleksandrii, ubogi rybak wyłowił z morza złoty pierścień. Sprzedał go za 50 dolarów antykwariuszowi, który, skolei odstąpił go za 300 dol. Muzeum Archeologicznemu w Kairze. Eksperti orzekli, że pierścień pochodzi z I wieku przed Chrystusem i należał do królowej Kleopatry.



JESZCZE JEDNA KOBIETA MINISTREM.

Pani Józefina A. Roche została mianowana przez prezydenta Roosevelta podsekretarzem stanu dla spraw skarbowych w zastępstwie H. Morgenthau'a juniora.

Jest ona już drugą kobietą, piastującą tę funkcję ministerjalną w gabinecie amerykańskim.

(Ministerstwem pracy kieruje Miss Perkins).

KOBIETA, KTÓRA NIE SŁYSZAŁA O WOJNIE.

W Jugosławii w małej zapadłej wiosce, Olip, żyje 80-letnia staruszka, narodowości chorwackiej, która, wybrawszy się w podróż koleją — drugi raz w życiu podróżowała koleją — chciała płacić bilet kolejowy monetą przedwojenną. Kiedy konduktor zwrócił jej uwagę, że pieniądze te nie mają obecnie żadnej wartości, staruszka wpadła w gniew, myśląc, że chcą ją oszukać. Zaczęły się wyjaśnienia, z których wynikało, że staruszka nie wie wcale, że była jakaś wielka wojna światowa i że Chorwacja nie należy do Węgier. Uspokoiła się dopiero, kiedy współpodróżnicy zrobili składkę i kupili jej bilet za pieniądze, będące w obiegu. Ale w to, że była jakaś wojna i w różne jej następstwa, nie chciała uwierzyć.

Szczęśliwa!...

WALKA Z ANALFABETYZMEM W CHINACH.

Zgodnie z nową reformą nauczania w Chinach, dzieci obowiązane są uczyć swych rodziców analfabetów czytania i pisania. Jak głosi fama — pewien siedmioletni chłopczyk nauczył swą staruszkę babkę

POLSKA SZKOŁA GOSPODARSTWA DOMOWEGO WE FRANCJI.

W st. Ludan pod Strasburgiem w Alzacji, (Par Hindischeim (Bas Rhin) w zdrowej okolicy, jednej z najpiękniejszych w tej prowincji prowadzą S. S. Sercanki roczną szkołę pracy domowej dla dziewcząt polskich w wieku lat 13 — 25.

Szkoła otoczona jest z jednej strony pięknym parkiem, z drugiej ogrodem owocowo - warzywnym. Gmach jest nowoczesnie urządzony, z centralnym ogrzewaniem, łazienkami posiada wzorową kuchnię, pralnię, szwalnię, obszerne sypialnie, salę jadalną, teatralną i t. d.

Nauka jest teoretyczna i praktyczna. Lekcje teoretyczne mają na celu pogłębienie i uzupełnienie nauki zdobytej w szkole powszechnej. Główny jednakże nacisk kładzie się na stronę praktyczną, gdyż Szkoła ma przygotować dziewczęta polskie do życia praktycznego, aby były wzorowymi gospodyniami w domu, dobrymi kucharkami, krawcowymi i t. p.

Program praktyczny obejmuje:

1) Prowadzenie kuchni polskiej i francuskiej, w teorii i w praktyce, to znaczy obliczanie potrzebnych materiałów i ceny, układanie spisu potraw na obiad czy kolację i przyrządzenie tych potraw, gotowanie i pieczenie, wypiekanie różnych ciast, deserów, przygotowywanie owoców, jarzyn i t. d. 2) Nauka kroju i szycia tak bielizny, jak sukien, płaszczów etc. 3) Roboty ręczne, jak haftowanie, strekowanie, cerowania etc. 4) Prasowanie, tak zwykłych materiałów, jak też jedwabów, koronek etc. 5) Nauka utrzymania porządków domowych, nakrywania do stołu, podawania przy stole etc. 6) Roboty w ogrodzie warzywnym i przy kwiatach. 7) Robienie zakupów i zapasów domowych. 8) Ogólne uwagi o wychowaniu dzieci.

Prócz tego wiele czasu poświęca się na wycieczki, w Wogezy, czy do Strasburga.

Uczennice same organizują przedstawienia, śpiewy, tańce i t. p.

Zakon SS. Sercanek pełni piękną pracę wśród naszej emigracji, dbając o to, by młodzież polska wychodziła z jego szkoły praktycznie przygotowana do życia i mająca przytem nawiązane związki z młodzieżą polską w Ojczyźnie przez korespondencję międzyszkolną, bardzo przez tę szkołę popieraną.

CZYTELNICZKI NASZE

*prosimy, by żądały pism
kobiecych we wszystkich
kawiarniach, cukier-
niach, restauracjach,
czytelniach i t. d.*

KOBIETA ZASTĘPCĄ BUR- MISTRZA.

Po raz pierwszy w miastecz-
ku Perth (Szkocja), kobieta zo-
stała wybrana zastępcą bur-
mistrza.

Mrs John Wood w stroju
urzędowym zdążyła na posiedze-
nie rady miejskiej.



PANI ALBERTOWA ROGERS ŻONA WETERANA WIEL- KIEJ WOJNY.

Pani Rogers, francuska ro-
dem z Armentiers, brała żywy
udział w niesieniu pomocy
wojskom sprzymierzonym
podczas wielkiej wojny.

Na zdjęciu widzimy ją z
małżonkiem.

W PRACOWNI Ś-TEGO MIKOŁAJA.

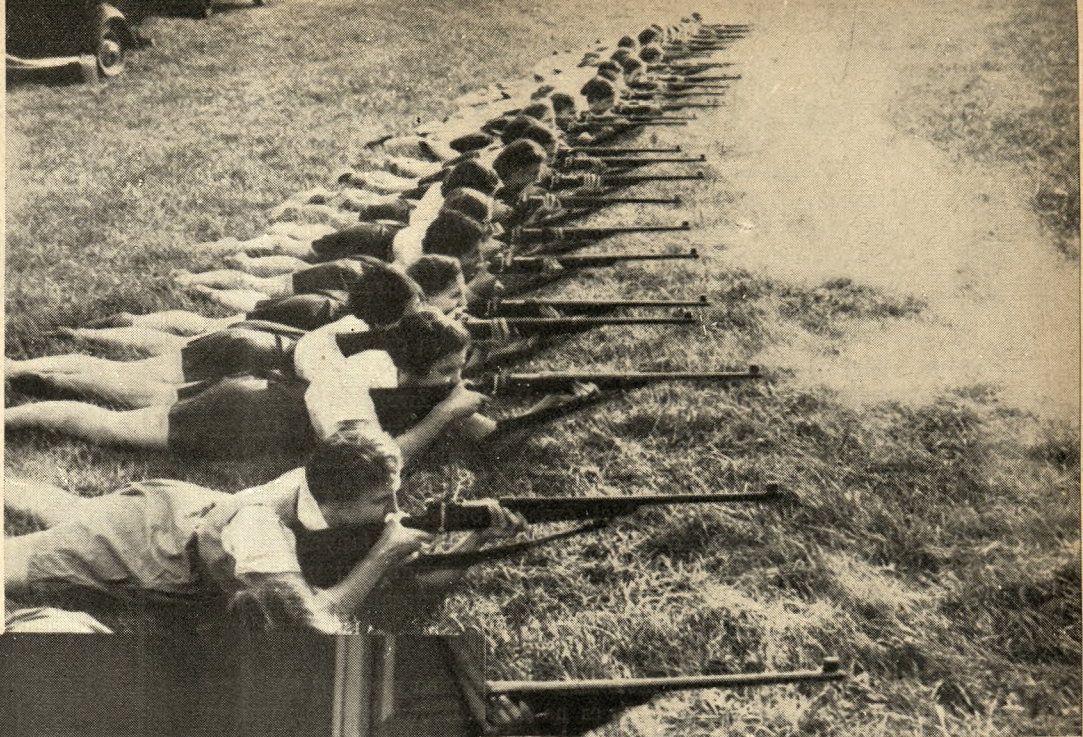
W pracowniach ozdób na
choinki wre intensywna
praca.

Trzeba, aby wszystkie
różnokolorowe, lśniące ku-
le i gwiazdy były gotowe
na święta.



NAJLEPSZE AMERYKAŃSKIE STRZELCZYNIE.

Studentki College Park na skutek wyników konkursu otrzymały zaszczytny tytuł „Najlepszej ekipy strzeleckiej“.



PREZYDENT ROOSEVELT DEKOROWANY PRZEZ MAŁENKĄ KWESTARKĘ.

Mała kwestarka w wełonie pielęgniarki przypina prezydentowi Rooseveltowi odznakę Czerwonego Krzyża, którego zresztą prezydent od wielu lat jest członkiem.

MŁODE AMERYKANKI W DRODZE DO EUROPY.

Trzy młode dziewczęta z Georgi w drodze z New - Jorku do Londynu. W Londynie będą przedstawione królewskiej parze angielskiej w pałacu St.-James. Z lewej do prawej: Miss Frances Weinman, córka państwa W. S. Weinman z Casterville, Miss Jean Lucas z Atlanty i panna Mary Anne Carr, córka państwa Clark Howell z Atlanty.



Walka z ciemnotą

Podjęta z początkiem listopada r. b. inicjatywa Polskiej Macierzy Szkolnej wielka i doniosła akcja oświatowa, znana już dobrze społeczeństwu, p. n. „Miesiąc walki z analfabetyzmem” spotkała się z niezmiernie żywym oddźwiękiem wśród członków największych organizacji społecznych i kulturalnych Państwa Polskiego.

Akces swój do akcji tej zgłosiło zgórą czterdzieści organizacji i zrzeszeń społecznych i kulturalnych na czele z organizacjami następującymi: Federacja Polskich Związków Obrońców Ojczyzny, Liga Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej, Harcerstwo, Akcja Katolicka, Narodowa Organizacja Kobiet, Organizacja Młodzieży Pracującej, Polska Macierz Szkolna, Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet, Związek Strzelecki, Związek Towarzystw Gimnastycznych „Sokół” i kilkadziesiąt innych.

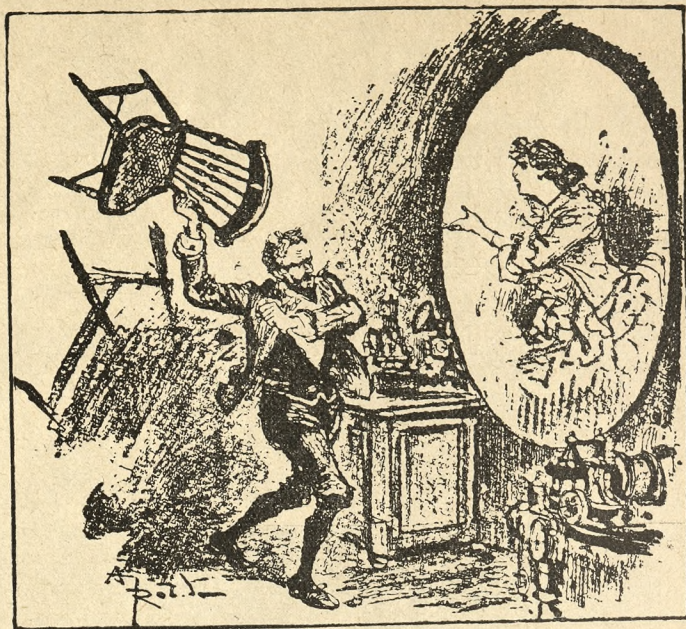
Tysiączne rzesze członków tych organizacji przystąpiły już do wyszukiwania i indywidualnego nauczania analfabetów. Piękna i niezmiernie doniosła dla państwa i kultury narodowej akcja oświatowa posuwa się naprzód.

Kto dotychczas nie stanął do pracy na rzecz tej akcji, powinien zgłosić do niej akces na ręce kierownictwa organizacji społecznej czy kulturalnej, do której należy, lub też zgłosić swoje do akcji tej przystąpienie wprost do Zarządu Głównego Polskiej Macierzy Szkolnej w Warszawie, Krakowskie Przedmieście Nr. 7.

Narodziny

Do rzędu niesłusznie zapomnianych fantastów w dziedzinie wynalazczości należy pisarz francuski. A. Robida, którego pomysły literackie przyjmowane były przez współczesnych z uśmiechem politowania, jako fantazje nie do zrealizowania, a dziś wprowadzają w zdumienie, że już przed 50-ciu laty pomysłany został drobniutko, z licznymi szczegółami aparat radiowy, w założeniu niewiele odbiegający od obecnie istniejących.

W roku 1885 wyszła w Paryżu powieść Robidy pod tytułem „La vie électrique” ilustrowana przez autora. Książka pisana



była pod wpływem szeregu wynalazków genialnego Edisona, jak telefon, żarówka, fonograf (prototyp obecnego gramofonu) i stanowiła rozwinięcie fantastycznych, zapoczątkowanych przez słynnego Amerykanina, nowości w dziedzinie techniki.

Należy podkreślić wszechstronność Robidy, który w swych fantazjach nie pominął ani jednego z wówczas istniejących lub zapoczątkowanych wynalazków oraz snuł zupełnie nowe, własne pomysły. Przewody gazowe, telegrafy, poczta podziemna i pneumatyczna, samoloty wywiadowcze z połączeniem telefonicznym, lotniska na dachach domów, farmaceutyczne restauracje z posiłkami, podawanymi pod postacią małych pigulek, wszystko to interesuje naszego pisarza i stanowi treść jego fantazji.

Pomiędzy różnymi nowymi wynalazkami, przewidywanymi przez Robidę, spotykamy szereg aparatów, które śmiało uważać można za prototyp aparatów radiowych w obecnym tego słowa znaczeniu, aczkolwiek sposób realizacji przedstawiony jest przez autora dosyć mętnie. Zato liczne rysunki, na których widzimy aparaty z kondensatorami, wtyczkami i głośnikami, jak również ich opis, nie pozostawiają wątpliwości, że chodzi tu o to, cośmy obecnie nazwali radjem.

W pierwszym rzędzie występuje w nich aparat, zwany „Musicophone” z dwoma głośnikami, mający za zadanie transmitowanie koncertów z specjalnie zbudowanych sal muzycznych. Zapomocą przełącznika aparat łączył się z lokalem, skąd nadawano komunikaty i wiadomości bieżące. Specjalny automatyczny przyrząd pozwalał na wyłączenie aparatu po pewnym dozwolonym czasie, na przykład po zaśnięciu słuchającego (tego jeszcze nie wymyślono), oraz łączył się z budzikiem.

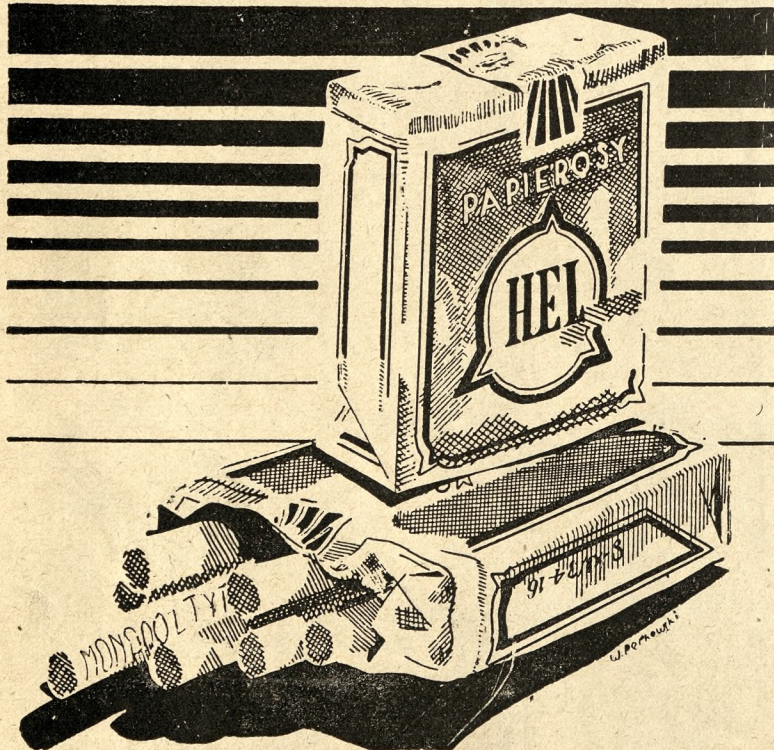
Niektóre zagadnienia radiowe, nurtujące obecnie radio-słuchaczy, były również aktualne w powieści Robidy, spotykamy tam bowiem humorystyczny obrazek, na którym widzimy radioamatora, włączającego olbrzymi głośnik, który swym rykiem przeraża kilku gości.

Co jednak stanowi najciekawszą stronę pomysłów radiowych Robidy, to specjalne aparaty telewizyjne, połączone z normalnymi radiowymi, nazwane przez niego „aparatami teleskopijnymi”. Przy każdym aparacie radiowym widzimy na rysunkach dużą białą tarczę owalną, na której ukazują się kolejno obrazy. Na jednym obrazku wściekły pan zamierza się krzesłem w tarczę, na której postać kobieca drażni go niezbyt miłymi informacjami.

Szczytem zastosowania faktycznego telewizji u Robidy są zainstalowane na ulicy kabiny „telefonoskopijne”, w których każdy za opłatą może połączyć się z inną osobą, posiadającą aparat telewizyjny i uciąć z nią pogawędkę. Jest to coś w rodzaju telewizyjnego radiotelefonu.

Słusznie więc można powiedzieć, że „niema nic nowego pod słońcem” i że to, co wydaje się nam ostatnim wynalazkiem technicznym, dawno już pomysłane zostało przez pełnych fantazji powieściopisarzy.

JUŻ SĄ W SPRZEDAŻY



(TYP AMERYKAŃSKI)

Ogrodnictwo i hodowla

ARALJA

Aralja to śliczna, bardzo dekoracyjna roślina, która dzięki temu, że wcale nie jest bardzo wymagająca, nadaje się doskonale do hodowli pokojowej — nawet tam, gdzie warunki nie są zbyt dobre.

Aralja pochodzi z Nowej Kaledonii. Główną ozdobą tej rośliny, dla której jest ona hodowana są wielkie i przedziwne rysunku liście, wyrastające wprost z pnia rośliny.

Liście aralji są osadzone na mięsistych, często barwnie owłosionych ogonkach, których długość waha się od 20—40 ctm. Są one okrągławe, misternie powycinane, są gładkie, lśniące o jasno szmaragdowej barwie.

Kwiatki ukazują się na roślinach starszych, są drobne, nieokreślonej barwy białawo zielonej. Są one niepozorne i wogóle bez znaczenia ozdobnego.

Latem o ile możliwości wystawiamy aralje na wolne powietrze, wybierając stanowisko cokolwiek zacienione. O ile to niemożliwe, trzymamy ją przy otwartym oknie, najlepiej zachodniem.

Zimą zaś aralja potrzebuje jak najwięcej światła i za każdy promyk słońca jest wdzięczna — dlatego też zimuje najlepiej na oknie południowym lub wschodniem. Latem potrzebuje dużo wody, ale należy baczyć, aby nie moczyły łodyg bo tego aralje nie lubią.

Zimą natomiast podlewamy je bardzo umiarkowanie — ot tyle tylko, aby nie dopuścić do kompletnego zasuszenia rośliny. Aralje należą do roślin silnie wyczerpujących ziemię, dlatego też coroczne przesadzanie w okresie wiosennym zwykle okazuje się konieczne. Unikaj należy zbyt dużych doniczek i dawać obfite dreny, aby woda miała swobodny odpływ.

Pamiętać należy, iż rośliny należące do tej rodziny są specjalnie wrażliwe na zakwaszenie.

Najodpowiedniejszą ziemią dla aralji jest następująca mieszanka:

2 części ziemi liściowej,

1 „ „ wrzosowej,

1 „ „ gruboziarnistego piasku.

Pierwsze podlane po posadzeniu wystarczą przeciętnie na jakieś 7—10 dni. W ciągu tego okresu po posadzeniu należy na aralje bardzo uważać i chronić je przed bezpośrednimi promieniami słońca.

Rozmnażanie aralji

nie przedstawia żadnych specjalnych trudności i można to doskonale uskutecznić w warunkach pokojowych. Rozmnażamy aralje z siewu i sadzonek, przyczem ten drugi sposób jest znacznie trudniejszy, bo sadzonki do zakorzenienia się potrzebują długiego okresu i łatwo podlegają zgniliznie. Sadzonkowanie stosuje się głównie przy odmianach pstrolistnych. Przyjmują się tylko sadzonki wierzchołkowe.

Siew daje doskonale rezultaty i dlatego też głównie ten sposób można polecać, tym łatwiej, że w pokoju tylko małą ilość roślin można w ten sposób rozmnażać, a jednak możliwość wyhodowania roślinki z maleńkiego kieleczka daje wiele satysfakcji.

Nasionka aralji wysiewać można już w styczniu, lutym. Opóźniać zbyt późno siewu nie należy, gdyż chodzi o to, aby siewki były do zimy możliwie wyrosnięte.

Gdy mamy nasienie świeże, kiełkuje ono bardzo szybko. Pikować w skrzyneczkach należy dwa, a najlepiej nawet trzy razy.

Gdy roślinki mają po trzy listki, wysadzamy je do małych sadzonekowych doniczek, przesadzając je co 6 tygodni do coraz to większych.

Z wczesnego siewu otrzymać można już w pierwszym roku wcale ładnie rozwinięte rośliny. Siewki otrzymane z wysiewu letniego, zimować najlepiej w gromadzie i dopiero na wiosnę należy je rozsadzać pojedynczo. Polecać należy przede wszystkim siew zimowy.

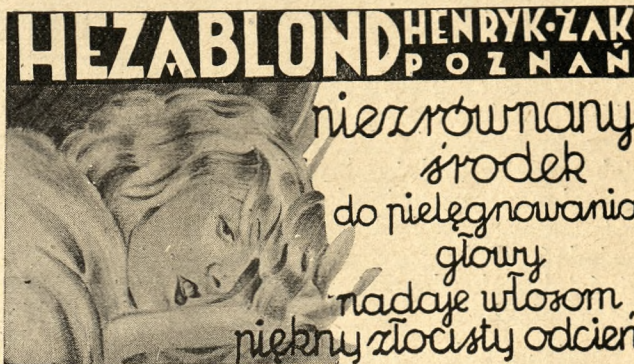
Odmian aralji jest wiele. Różnią się one zarówno wzrostem, jak i kształtem liści. Aralja jest rośliną drzewną, rozgałęziającą się dopiero w starszym wieku, w którym osiąga też znacznej, bo kilkumetrowej wysokości.

Dla przeciętnych mieszkań najodpowiedniejsze będą egzemplarze odmian niskich t. j. takich, których pień ma 60 ctm. do 1 m. wysokości.

Z pośród tych polecić można przede wszystkim następujące:

Aralja leptophylla — palczasta.

Aralja pulchra — piękna.



Aralja puinpuefolia — pięciolistna i t. d.

Aralja trifoliata — trójlistna i t. d.

Aralja posiada też odmiany o liściach białobieżnych — foliis albo marginatis lub z żółtą obwódką — foliis aureo marginatis lub też żółto siatkowych foliis aureo reticulatis oraz wspaniałą odmianę pstrolistną Aralia foliis arg.

ZIMA I KURY

Podstawą zimowej hodowli kur jest oprócz racjonalnego odżywiania, widny, słoneczny, przestronny kurnik, gdzieby kury większą część dnia przebywały, grzebiąc i ruszając się. Bez odpowiednich pomieszczeń, wszelka hodowla musi stać pod znakiem zapytania.

W kurniku musi być czysto, t. zn., że co kilka dni musi on być sprzątnięty, aby robactwo się nie pleniło. Wszelkie pasożyty stanowią bowiem plagę kur. Nękają je okropnie, wysysają z nich krew, przenoszą choroby i t. d. Walka z robactwem, należy do pierwszych obowiązków hodowcy.

Musi być dostateczna ilość gniazd w kurniku i to, o ile możliwości zatraszkowych, gdyż tylko przy ich posiadaniu, możemy prowadzić kontrolę nieśności i wszelkie darmozjadki z kurnika usuwać.

Dalej, kury muszą mieć kąpiel z piasku, popiołu drzewnego, aby się same mogły z robactwa oczyszczać.

W okresie zimowym, zwłaszcza w czasie słońca, kury są skłonne do siedzenia; osowiałe i ruszają się niechętnie. Hodowca musi je pobudzać do ruchu, który jest im do zdrowia niezbędny. Dlatego też, trzeba im zawieszać w kurnikach kapustę, zawieszoną na sznurku. Wieszanie trzeba na takiej wysokości, aby kura, chcąc się dostać do przysmaku, musiała podskoczyć. Kapustę zastępować mogą również buraki cukrowe.

Ziarno dawać przede wszystkim na noc; gdybyśmy dawali na wieczór paszę miękką, to tę kury bar-

 **TRZY LILIE** "Bawelna do celowania i nici"

dzo szybko przetrawia i będą głodne. Pamiętać należy, że kura przyjmuje pokarm tylko, gdy jest jasno.

W intensywnych gospodarstwach, zimą karmia kury ostatni raz około godziny 9-ej wieczór, przy sztucznym świetle.

Część ziarna poleca się sypać pod ściółkę. Idzie tu o to, aby zachęcić kury do grzebania. W czasie wielkich mrozów, należy dawać kurom potrochu *zanarzonej pokrzywy*, który to zapas dla hodowcy powinien posiadać. Pokrzywę należy zaprawiać tak, jak plewy i mięszać je z paszą miękką.

Pamiętać należy o tem, aby ptactwo miało stale pod dostatkiem *wody do picia*. Warunek ten w małych gospodarstwach bywa często lekceważony i kury skazane są na lękanie kawałków lodu lub bryłek śniegu, aby zaspokoić pragnienie. Stan ten fatalnie się odbija na ogólnym zdrowiu ptaka i naturalnie na nieśności.

Woda powinna stać troszkę wyżej, najlepiej na jakimś stołku, lub pieńku. Zadawać ją najlepiej w specjalnie skonstruowanych naczyniach, a w braku tychże, w płaskich miskach. Cenne usługi oddawać nam tu mogą nuszki po rolmopsach i t. p., namietać tylko trzeba o pozaginaniu brzegów, aby sobie kury nóg nie kaleczyły.

Fatalnym błędem, który się ujemnie odbija na ogólnej nieśności naszych kur, jest tak bardzo rozpowszechnione u nas *opychanie ich ziemniakami*. Kartofle są paszą przedewszystkiem tuczącą, która ani piór, ani jaj wytworzyć nie może.

Kura musi mieć wielką różnorodność paszy, gdyż tylko wtedy organizm jej otrzyma wszystkie niezbędne mu składniki. Kartofle dawać należy rano, zawsze ciepłe, świeżo uparowane. Choć na krótko, ale ogrzeją one zmarznięty po nocy drób. Jednak dawka ich nie powinna być większa, niż pół kg. na 10 kur. Kartofle w zupełności zastąpić można drobno posiekaniem jarzynami, jak: *marchem, kapustą, buraki pasternem, brukiew* i t. p. Jarzyny te powinny być drobno posiekane i osypane *otrębami pszennymi*. Należy zmieszać po połowie grys drobny i gruby.

Dodatek suszonej zieleniny jest również potrzebny. Oprócz wyżej wspomnianej, suszonej pokrzywy, używać tu będziemy *plew seradelowych, konieczynowych, z lucerny*, lub t. zw. „*paprochów z siana*”. Pasza ta musi być sparzona i dobrze wybrzękła.

Doskonałą paszą zieloną okazał się *jarmuż zimorowy*. Roślina ta zasługuje wogóle na szeroką uprawę i

W PAŃSTWOWEJ SZKOLE
PRZEMYSŁOWEJ ŻEŃSKIEJ
ULICA GÓRNOŚLĄSKA 31
OD 12-XII DD 19-XII

ODBĘDZIE SIĘ

„KIERMASZ ŚWIĄTECZNY”

Wyroby szkół zawodowych żeńskich,
z materiałów krajowych, konfekcja
damska i dziecienna, wyroby
cukiernicze, ubiory sportowe, podarki.

jest u nas zupełnie niedocenioną. Jarmuż można na zimę zostawić na polu i zbierać codziennie potrzebną dawkę. Nie można go jednak podawać w stanie zmarzniętym, ponieważ każda pasza zmarznięta jest szkodliwa dla drobiu. Trzeba poczekać, aż roztaje i obeschnie, poczem podaje się go drobno posiekany z paszą miękką.

Doskonałą i bardzo dobrze na nieśność wpływającą paszą jest *owies* skielkowany.

Ziarno dajemy w dwóch porcjach: rano 1/3 pod ściółkę i tę sobie muszą kury zebrać, a 2/3 ogólnej ilości paszy treściwej, na noc do korytka.

Przeciętnie liczy się pół kg. ziarna na dzień na każde 10 kur. U ras dużych i ciężkich, dawkę tę trzeba zwiększyć do 600 gr. Najlepiej używać mieszaniny ziarna. Zestawienia trudno tu robić, bo skarmiać należy przedewszystkiem wytwory własnego gospodarstwa i kierować się przedewszystkiem cenami, aby wyżywienie kur wypadło możliwie tanio.

Jako najlepsze pasze dla kur polecić można *grykę, jęczmień, owies, kukurydzę, psólad pszenney, rykę, peluszkę, nasienie akacji* i t. p. Oprócz tego odpadki z rzeźni, *suszone chrabaszczce, drobne rybki suszone* i t. p. W braku tych mięsnych dodatków, można z powodzeniem używać wszelkie *makuchy* t. zw. kołaczki: *lniane, rzepakowe, sojowe* i t. p.

Bardzo skutecznem okazuje się dodawanie małej ilości *tranu* do paszy; liczy się po pół gr. na kurę na dzień.

Dodatek części mineralnych jest niezbędny, aby organizm ptaka miał z czego budować twarde i mocne skorupki, oraz pióra. Każde 10 kur powinno dostać codziennie czubatą łyżkę *tluczonych skorupiek od jaj, maczki kostnej, starego tynku* i t. p. *Odrobina soli* pobudza apetyt i stanowi konieczny składnik krwi. Co kilka dni dajemy kurom do paszy po łyżce *kriatu siarczanego*, zwiększając tę dawkę w okresie pierzenia się. Trochę *węgla drzewnych*, tluczonych miało działa dezynfekcyjnie na system kiszkowy i ułatwia trawienie.

Istnieją różne pokarmy, które pobudzają nieśność, ale stosować je należy bardzo ostrożnie, gdyż nadużyte, wywołują różne stany zapalne, których następstwem jest bezpłodność kury, czyli jej zmarnowanie.

Francuscy hodowcy zalecają następującą mieszankę, której na stadko złożone z dziesięciu kur dawać łyżeczkę herbacianą raz, a najwyżej dwa razy na tydzień.

150 gr. *cynamonu*; 200 gr. *imbiru*, 50 gr. *gencjanu*; 50 gr. *anyżu*; 250 gr. *węgla żelaza*. Wszystko to miele się drobno i podaje się skąpą łyżeczkę.

Pamiętać jednak należy, że najlepsze i najbardziej intensywne odżywianie nie pomoże, jeśli kury będą miały ciasne, zimne i wilgotne pomieszczenia. Powinno się dbać o to, aby kurniki nie były za zimne, głównie zaś, aby nie było przeciągów, ponieważ wtedy kury zapadają na katar. Drzwi wejściowe poleca się zawieszać grubą matą ze słomy.

W kurniku powinna być *dostateczna ilość grzęd*; wszystkie powinny być umieszczone na jednym poziomie, aby ptaki nie staczały walk o wyższe miejsca.

Regularne czyszczenie kurników i częsta zmiana ściółki w miesiącach zimowych, są to czynności nieodzowne. Na wilgotnej ściółce drób się czuje niedobrze i nie grzebie w niej.

Na zakończenie podaję wypróbowany sposób *tuczenia kur i kapłonów*, zaznaczając, że stare sztuki tuczenia nie opłacają, lepiej więc je użyć na rosoly i potrawy, niż na pieczyście.

Natomiast młode, wybrakowane w kurniku sztuki zawsze warto podtuczyć, tembardziej, że w tem wiele kłopotu niema i, że po dwóch tygodniach kura jest tak tłusta, że trudno się w niej kości domacać.

Sztukę przeznaczoną do tuczu, zamykamy do dość ciasnej klatki, t. zn. takiej, aby ptak miał utrudnioną swobodę ruchów.

Bierze się w równych częściach, *przesianą mąkę jęczmienną, mielone proso i kukurydzę*, dodaje się do tego *troszkę loju*, może być nawet *barani*, odrobinę *antymonu* i wszystko to razem zarabia się *kwaśnem mlekiem* na sypką kaszę. Karmę tę zadaje się tuczonym kurom trzy razy na dzień, w takiej ilości, wiele tylko zjedzą. Kaszy tej nie należy sobie robić większego zapasu, niż na jeden dzień, bo kwaśniej i staje się szkodliwa.

Czystej wody, lub *świeżego mleka* nie powinno tuczonemu drobiowi nigdy braknąć.

Marja Dąbrowa.

Dom i gospodarstwo

R Y B Y

Temat w całym tego słowa znaczeniu „na czasie”, rodzaj motywu przewodniego wieczerzy wigilijnej, która bez dań rybnych z trudnością obejść się może.

Ryba z punktu widzenia kupna jest tematem dosyć ryzykownym. Nieświeża — zagraża nie tylko wykwintnemu smakowi znawcy, ale zdrowiu każdego kto ją spożywa. Nawet w pierwszym, najniebezpieczniejszym stadium rozkładu ryba jest wybitnie szkodliwa dla zdrowia, a „solidnie” nieświeża może łatwo spowodować zatrucie z poważnymi następstwami. Dlatego też uczmy się rozpoznawać świeżość, a właściwie nieświeżość ryb i nabywajmy je z daleko idącymi ostrożnościami!

Jakie są zatem cechy szczególne ryb świeżych? Wyraźnie czerwony, żywy kolor skrzel; pełne jasne oko; jędrne mięso. Badając kolor skrzel nie można polegać jedynie na wrażeniach wzrokowych. Niesumieni sprzedawcy umieją je zabarwić, a więc bezpieczniej będzie nie tylko spojrzeć na skrzel, ale dotknąć ich palcami i przekonać się w ten sposób, czy nie farbuja. Oko musimy ocenić tylko wzrokowo, licząc się z tem, że zapadnięte i mętne wskazuje na niezadawalniające stadium świeżości ryby. Co do jędrności mięsa, przeprowadzamy próbę, naciskając rybę palcem przez skórę. Jeżeli wytworzy się nikiel zagłębienie, które wyrówna się natychmiast po odjęciu palca — ryba jest świeża i możemy ją nabyć bez zastrzeżeń. Natomiast brak elastyczności, inaczej trwały ślad pozostający po ucisku, jest zawsze dowodem mniej, lub więcej zaawansowanego rozkładu.

A teraz przejdźmy do spraw wybitnie żywotnych w okresie świątecznym, do zastosowania poszczególnych gatunków ryb, które bezsprzecznie zyskują, albo tracą na umiejętnym doborze dań, za podstawę których służą.

Więc przedewszystkiem najpopularniejszy, a niesłusznie może obdarzony palmą pierwszeństwa — szczupak. Mięso szczupaka wybitnie nie tłuste, jest zawsze suche i „wiórowate”. To też najsmaczniejszą postacią szczupaka jest tak zwany „szczupak po żydowsku”, faszerowany. Szczupaka faszerowanego można podawać na zimno, prosto pokrajanego w plastry, albo też w plastrach zalanych galareta. Doskonale będzie gotowany, podany na gorąco z garniturem z misternie krajanych, duszonych w maśle jarzynek i kłuszek krajanych.

Wyborny jest też szczupak fasze-

rowany z pieca, upieczony na obfitem maśle i wydany na stół z pieczonemi przy nim całemi kartoflami, świeżą zieloną, albo jakąś zimową salata.

Sandacz jest rybą o najrozleglejszym może zastosowaniu. Gotowany, pieczony, smażony z przeróżnymi sosami i garniturami, służy też za podstawę majonezów i galaret.

Cheć sprawdzić na oko świeżość sandacza, zwracamy przede wszystkim uwagę na równą, prostą linję grzbietu i czystość oraz wypukłość oka. Najniebezpieczniejsze są sandacze w skrzynkach, zaopatrzonych w kilka kawałków topniejącego lodu. Natomiast sandacze mrożone natychmiast po połowie nie ustępują w smaku świeżym i nie zagrażają zdrowiu ludzkiemu.

Karp — król ryb polskich, którego hodowla w kraju rozpowszechnia się coraz bardziej, jest rybą doskonałą, o tłustem, delikatnem, ciemnym mięsie, które ze względu na nieco mdły (słodki) smak, wymaga wyraźnych przypraw. Karp w galarecie, karp w marynacie, karp w szarym sosie, au gratin, karp z wody z masłem i cytryną, smażony z chrzanem — to wszystko wyśmienite dania, nie tylko wigilijne, ale i zasługujące na uwzględnienie w całorocznych jadłospisach.

Karasie, bytujące nie tylko w „oficjalnych” wodach, ale i w najniebezpieczniejszych sadzaweczkach są wyborne w smaku, a cenne jeszcze i tem, że znoszą doskonale transport. Przewozi się je w wilgotnym mchu, przetrzymuje w naczyniu z czystą, zimną wodą, codziennie zmieniającą. Można je tak przetrzymywać przez czas dłuższy bez obawy o uśnięcie. Taka czysta, świeża kąpiel wpływa też wyśmienicie na smak karasi, które niejednokrotnie pochodzą z błotnistych, zamulonych sadzawek i są przesiąknięte ich specyficznym odorem. Przetrzymanie karasi kilka dni w czystej, często zmienianej wodzie wpływa doskonale na ich „odwonienie”. Zresztą sposób ten stosujemy do wszystkich żywych ryb, przesyconych zapachem błota. Karasie są rybami dosyć ościstymi, jednak ości odchodzą łatwo i nie stanowią tak uprzykrzonej przeszkody przy jedzeniu, jak u innych ryb.

Małe karasie (często spotykane) trzeba smażyć tak chrupko, aby się dały spożyć całkowicie z ościami. Większe przyrządzamy w sposób charakterystyczny, znany w kucharstwie pod określeniem „karasi po polsku”, to znaczy dusimy je w śmietanie.

Do ryb o pokrewnym typie należą też liny, łatwo przyjmujące zapach

błotnistych wód, w których żyją. Proszę zatem pamiętać o niezbędnej, chociażby kilkugodzinnej kąpiei w kilkakrotnie zmienianej wodzie, co wypłynie doskonale na smak dania, przyrządzanego z lina.

Zastrzegam się jednak, że ten sposób stosować można tylko do ryb żywych. Ryby śnięte przetrzymuje się bez wody, na lodzie, lub w bardzo zimnej piwnicy, a jeżeli nie możemy ich zużytkować w dniu nabycia, dobrze jest oprawić i natrzeć prażoną solą.

Charakterystycznym i doskonałym daniem z lina jest lin duszony w czerwonej kapuście. Poza tem lin zarówno smażony, pieczony, jak i gotowany, lub w galarecie będzie zawsze wyśmienitem daniem. Służy on też za podstawę rosółu o doskonałym esencjonalnym smaku.

Bardzo smaczną, a nie zawsze docenioną rybą jest okoń. Zastosowanie okoni nie jest wprawdzie tak rozległe, jak wielu innych ryb, bo spożywamy je przeważnie gotowane, ale zato rosół z okoni i galareta przyrządzona na tym rosole należy do dań godnych podniebienia smakosza.

Zwracam tylko uwagę na konieczność obierania okoni z ości natychmiast po wyjęciu ich ze smaku, w którym się gotowały. Ości „na gorąco” odchodzą daleko łatwiej, a że okoń może poszczycić się ich obfitością, przeto trzeba ułatwić sobie zadanie oczyszczenia go z tych uciążliwych przy spożywaniu galarety, dodatków.

Zanim przejdziemy do ryb, imponujących swoją wielkością i wytwornym smakiem, trzeba poświęcić jeszcze słów kilka małym, a wybornym sielawkom augustowskim, zarówno smacznym, jeżeli podajemy je smażone, jak i wyśmienitym w marynacie.

Charakterystyczną cechą świeżej sielawy są odsłonięte, wypukłe oczy, obrzeżone czerwoną obwódka. Poza delikatnym smakiem, sielawy zalecają się jeszcze i tem, że opracowanie ich nie należy bynajmniej do mozolnych. Delikatna drobniutka łuszczyka wyklucza konieczność drobniutkiego czyszczenia, ocieramy je prosto szorstką ściereką płócienną.

Wanda Dobrzańska.

Przepisy gospodarskie

Potrawy wigilijne.

Krem z karasi. Najwykwintniejsza zupa rybna, to krem z karasi. Przyrządza go się w sposób następujący:

Ugotować smak na włoszczyźnie i cebuli z dodatkiem listka bobkowego, paru ziarn pieprzu oraz ziela. W dobrze na-

gotowany smak włożyć karasie, oprawione i oskrobane z łusek. Gotować na wolnym ogniu pod przykryciem tak długo, dopóki się ryba całkowicie nie rozgotuje. Wówczas wybrać starannie włoszczyznę i korzenie, ryby przefasować przez gęste sito, wymieszać z pozostałym smakiem.

Przesmażyć (na biało) łyżkę masła deserowego z łyżeczką deserową mąki pszennej, rozebrać smakiem z ryb, wlać do zupy, zagotować.

Na wydaniu rozbić 3 surowe żółtka z trzema łyżkami słodkiej śmietanki, zupełnie zagotować, wlać kilka łyżek gorącej zupy w śmietankę z jajami, wymieszać, zdjąć rondel z ognia, wlać zaprawę. Już nie gotować, tylko momentalnie podawać, żeby zupa nie wystygła. Oddzielnie podawać małeńkie groszek ptysiowy, albo bardzo wykwentne grzaneczki. Porcja na 6 osób.

Groszek ptysiowy. Proporcja: 1 szklanka wody, $\frac{1}{2}$ szklanki mąki pszennej, $\frac{1}{3}$ kg. masła deserowego, szczypta soli, 5 jajek.

Zagotować wodę z masłem. Wsypać do wrzącej, nie zdejmując rondelka z ognia, osianą mąkę. Wyrabiać bezustannie łyżką drewnianą, aby grudek nie było. Podgrzewać ciasto na wolnym ogniu, ciągle mieszając, dopóki nie zacznie odstawać od rondla. W przestudzone wbijać po jednym jajku i ciągle wyrabiać. Gotowe ciasto postawić w chłodzie, żeby stężało.

Posmarować blachę cieniutko masłem, szprycować przez tutkę papierową, albo szpryczkę od ubierania tortów, małeńkie kuleczki z ciasta, nie większe, jak ziarnko grochu. Wstawić w dobrze gorący piec, aby się momentalnie rozgrzały, inaczey nie wyrosną. Upiec na słomkowy kolor, lekko przesuszyć w niezbyt gorącym piecu. Przechowywać w pudle z białej blachy ze szczelnie przylegającym wierzchem. Jeżeli przechowujemy groszek ptysiowy czas dłuższy, dobrze będzie odświeżyć go przed użyciem, wsuwając na chwilę do pieca.

Zupa z głowy rybiej. Głowę od dużej, tłustej ryby nastawić w poprzednio przygotowanym smaku z włoszczyzny, cebuli i korzeni. Gotować na wolnym ogniu, pod przykryciem tak długo, dopóki się całkowicie nie rozgotuje. Z ugotowanej głowy wybrać starannie wszystkie kawałki mięsa, włożyć je do wazy. Zupełnie precedzić przez bardzo gęste sitko, zaprawić masłem deserowym przesmażonym na biało z odrobiną mąki pszennej, wlać na kawałki ryby, znajdujące się w wazie, dodać trochę siekanej zieleninki i kawałek surowego masła deserowego.

Potrawa z ryb z półksiężycami. Ugotować białą, delikatną rybę w smaku z włoszczyzny, cebuli i korzeni. Wystudzić w smaku, wyjąć, osączyć. Podzielić na niewielkie kawałki, wybierając jak najstaranniej wszystkie ości.

10 dk. jędrnych, białych pieczarek obrać trzcą gałgankiem z ziemi, obrać z wierzchniej skóreczki, rzucając w czasie obierania do zimnej wody, zakwaszonej kwasem cytrynowym, albo sokiem z cytry-

ny. Poszatkować pieczarki na niezbyt cienkie plasterki, włożyć w rozgrzane masło, zakropić sokiem cytrynowym, dusić bez przykrycia (nie soląc) około 10 minut.

Szklanę kwaśnej, młodej, wyborowej śmietany, dwie szklanki rosółu z ryb starannie precedzonego przez gęste sitko wymieszać razem. Przesmażyć na biało dwie łyżki masła z dwoma łyżkami mąki pszennej, rozebrać smakiem z ryb i śmietany, zagotować, mieszając bezustannie, aby się grudki nie wytworzyły. Sos powinien być bardzo gęsty. Do gotowego sosu włożyć uduszone pieczarki. W ozdobnej rynce ogniotrwałej ułożyć warstwę ryby, zalać kilkoma łyżkami sosu, znów dać warstwę ryby i znów sos, postępując tak aż do zużytkowania całego materiału. Wierzch potrawy przykryć półksiężycami kruchemi, układając je w ozdobne desenie. Półksiężyce układać w ostatniej chwili przed wydaniem na stół, aby nie zwilgły.

Taką potrawę można też podawać na głębokim półmisku okrągłym, przybierając półksiężycami rand półmiska. Potrawa nie powinna mieć dużo sosu „pływać w nim“, bo wówczas garnitur zatoni.

Półksiężyce do garniowania. Proporcja: 10 dk. sera szwajcarskiego, 10 dk. masła deserowego, 10 dk. mąki pszennej, trochę mialkiej soli stołowej.

Półsuchy ser szwajcarski utrzeć na bardzo ostrej i drobnej tarce. Osiąć mąkę, dodać masło, tarty ser, sól. Wyrobić ciasto, jak na kruche ciastka, wynieść do chłodu, żeby stężało. Rozwałkować na pół palca grubo, wycinać kółka niewielkim kieliszkiem, albo foremką blaszaną. Każde kółko przeciąć pośrodku kieliszkiem. W ten sposób otrzymamy dwa odmienne kształty: półksiężyc i owal. Ułożyć na blasze, nie smarując jej masłem, wsunąć w dobrze gorący piec, żeby się momentalnie piekły, a nie smażyły. Piec na jasno-złoty kolor. Zbyttno zrumienione nabierają goryczy i przykrego smaku palonej kości.

Budyń z ryby gotowanej z sosem pomidorowym. Proporcja: 1 kg. ryby bez skóry i ości, 6 kg. mąki pszennej, 5 dk. masła deserowego, $\frac{1}{4}$ szklanka mleka słodkiego, 4 jajka, biały pieprz mielony, sól, koperek, masło do formy.

Ugotować rybę w smaku z włoszczyzny, cebuli i korzeni. Wyjąć, osączyć, obrać jak najstaranniej ze skóry i ości, przepuścić przez maszynkę. Masło przesmażyć z mąką, rozprowadzić mlekiem, zagotować, mieszając bezustannie. Odstawić, wystudzić.

Dodać do tej zaprawy siekaną rybę, pieprzu i soli do smaku, surowe żółtka. Wyrobić łyżką drewnianą. Ubić sztywną pianę z pozostałych białek, dodać do farszu rybiego, lekko wymieszać. Wysmarować zawczasu ozdobną i dosyć wysoką rynkę ogniotrwałą masłem deserowym, wypełnić ją w $\frac{3}{4}$ farszem, wsunąć do dobrze ciepłego, ale niezbyt gorącego pieca, żeby budyń wyrósł zanim się zdąży zrumienić. Piec około godziny (zależnie od pieca). Wydawać w tej samej ryn-

ce skropiony powierzchniu masłem sklarowanym. Oddzielnie sos pomidorowy.

Karp w galarecie. Ugotować na smaku z włoszczyzny karpia oszyszczonego i podzielonego na dzwona. Ugotowaną rybę wyjąć ze smaku, oczyścić z wierzchniej skórki i ości, wszystko to włożyć spowrotem do smaku i gotować jeszcze na wolnym ogniu około pół godziny.

Gotowy smak precedzić przez bardzo gęste sitko, sklarować białkiem surowym, rozbić z trochę octu, rzucając równocześnie skorupki z dwóch jajek. Raz zagotować na wolnym ogniu, odstawić, żeby się szumowiny ustąpiły na spodzie. Zlać ostrożnie smak, precedzić go przez płótno, dodać na 1 litr smaku półtora dk. białej żelatyny, którą trzeba poprzednio wymoczyć w zimnej wodzie, a gdy zwiotczeje, doskonale odcisnąć i rozpuścić w odrobinie wrzącego smaku.

Zawczasu przygotować talariki gotowanej marchwi, wycinane w ząbki, plasterki cytryny bez pestek i skórki, trochę odsączonego groszku zielonego z konserwy, jaja na twardo krajane w talariki, marynowane grzybki i natkę od pietruszki.

Trochę gotowej galarety wlać na dno formy, postawić w zimnie, gdy zacznie tężeć, ułożyć na galarecie zręczny garnitur ze wszystkich wyżej wymienionych dodatków, tak aby po wyjęciu galarety z formy wierzch wyglądał ozdobnie. Na tym garniturze dać rybę podzieloną w niewielkie kawałki, można ją przekładać również jajami, jarzynkami i marynowanymi grzybkami. Po wypełnieniu formy wlać galarety płynnej, dając jej tylko tyle, aby przykryła rybę, ale nie powodowała spływania ku górze.

Postawić galaretę w chłodzie (najlepiej robić ją w wilgę dnia podania) na wydaniu obetrzeć formę serwetą umaczaną w ukropie i wyciśniętą dobrze z wody, wyjąć galaretę na półmisek okrągły, przybrać brzegi półmiska efektywnie listkami świeżej salaty, jajami na twardo, talarikami gotowanej marchewki, marynowanymi grzybkami, rydzami i korniszonami. Oddzielnie podać sos tatarski, majonezowy, albo remoulade.

Krażki z ryb z chrzanem. Drobne rybki gotowane, albo kawałek gotowanej ryby $\frac{1}{2}$ klg. bez ości i skóry, przepuścić dwukrotnie przez maszynkę. Utrzeć na misce łyżkę masła, 1 jajko surowe i jedną bułkę otartą ze skórki, namoczoną w mleku i doskonale odcisniętą. Gdy wytworzy się gładka, pulchna masa dodać siekaną rybę, posolić do smaku, wsypać odrobinę białego pieprzu mielonego, wyrobić łyżką drewnianą.

Z tak przygotowanego farszu formować wałeczki, podsypując mąką pszennej, łączyć je w formie obwarzanków, układać na dosyć grubym białym papierze. Gdy wszystkie gotowe, rozgrzać silnie smalec w dosyć głębokim, ale płaskim i rozłożystym rondlu. Zsuwać krażki z papieru w gorący smalec. Smażyć na złoty kolor. Podawać na okrągłym wygrzany półmisku, kładąc w środek każdego krażka trochę tartego chrzanu. Garniować smażoną natką od pietruszki.

Melba

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

P. Halinie: Zęby, pomimo palenia, będą zawsze śnieżnej białości, o ile będzie je pani czyścić *wybielającym proszkiem Albol*. Jako pastę do stałego użytku, polecam pani *Philodont*, który doskonale dezynfekuje jamę ustną i utrzymuje zęby w należyтым porządku.

Zmartwionej: Brwi i rzęsy przyciemni pani na trwałe, niezmywający się kolor *Hen-nolina do brwi*. Co się tyczy rozjaśnienia włosów, to polecam pani *plyn Hella*, który rozjaśnia włosy i nadaje im kolor złoto blond. Przytem *plyn Hella* nie niszczy włosów.

Wrażliwej: Myć włosy w zimie wodą jest niedobrze, gdyż łatwo można przeziębic głowę, no i włosy długo schną. Najlepiej czyścić głowę na sucho *pudrem Florentin*. Wtrzepuje się cokolwiek *pudru Florentin* dłonią w głowę i następnie wyczesuje grzebieniem i szczotką. Włosy odrazu są suche i puszyste.

Maryli M.: Najlepiej zachowa pani czystą, świeżą cerę, stosując krem *Abarid*. Na noc wetrzeć cokolwiek *kremu Abaridowego* i przypudrować *pudrem Abarid*. Rano zmyć twarz *otrąbkami Abarid* w dobrze ciepłej wodzie i przypudrować tymże *pudrem*.

Dbalej: Do rąk lepszego kremu nad *krem Pralatów* niema. Po każdym umyciu rąk, wetrzeć w nie cokolwiek *kremu Pralatów*, przypudrować ręce grubo *wybielającym pyłkiem Juvenia Candida* i włożyć kosmetyczne rękawiczki, lub luźne niciane. Rano, po umyciu rąk, w wilgotne jeszcze ręce wetrzeć znowu *krem Pralatów*. Ma on tę zaletę, że wciera się do sucha, nie plami i nie brudzi.

M-me Ercèdes.

MEBLE gwarantować może tylko własna wytwórnia

Stołowy 14 sztuk 430. Sypialnia 10 sztuk 440. Gabinety 460. Salony mahoni 10 sztuk 220. Złoczone orzechowy, fotele futurystyczne, tapczany higieniczne 85. Otomany 120. Stoły rozsuwane 50. Krzesła wyściełane 15, oraz najróżnorodniejsze sztuki.

OLKOWSKI Nowy Świat 12, tel. 9-10-93
= Firma chrześcijańska =

OGŁOSZENIA DROBNE



PIERWSZA LECZNICA
Kosmetyczna i Chorób Włosów
Dr med. M. Biernackiej i Dyr. I. Kisielewskiej
Warszawa, Szopena 16.

Żądacie bezpłatnych książeczek z przepisami Dra Oetkera w składach spożywczych!

Niech się Pani sama nie krzywdzi!

Niech Pani zwraca baczną uwagę na towar, jaki Pani kupuje! Obecnie często usiłuje się sprzedawać paniom domu zamiast znanych od dziesiątek lat, ze swej znakomitej jakości **fabrykatów Dra Oetkera, inne wyroby** w ładząco naśladowanem opakowaniu, lecz w gorszej jakości. Należy zatem przy zakupie baczyć na to, żeby na paczce znajdowały się nazwisko „Dr. Oetker” i marka ochronna „Jasna Głowa”, i nie przyjmować żadnych naśladownictw.

Dzięki wielkiemu obrotowi budynie Dra Oetkera, oraz Dra Oetkera proszek do pieczenia „Backin” i jego cukier waniliowy nabyć można zawsze świeże.

Dr. A. Oetker
Fabryka środków spożywczych.



Żądacie bezpłatnych książeczek z przepisami Dra Oetkera w składach spożywczych!

Od 1.XII.34 = 1.I.35 r.

Dwutygodnik „JA TO ZROBIĘ“

urządza w lokalu własnym ul. Świętokrzyska 17 m. 3

„WYSTAWĘ = KIERMASZ“

p. t.

„JAK I Z CZEGO JA TO ZROBIĘ“

Celem wystawy będzie w jej części pierwszej pokazanie najnowszych, polskich surowców — materiałów w dziedzinie tkanin, nici, włóczek, metali, skóry, pergaminów na abażury, rafji, drzewa, paciorków i wszelkich pomocy technicznych, oraz szeregu artystycznych przedmiotów wykonanych z wyżej wymienionych surowców. ∴ ∴ ∴

Część druga wystawy obejmie bogaty dział wszelkich najmodniejszych robót ręcznych, przeznaczonych do sprzedaży gwiazdkowej. ∴ ∴ ∴

Wszystkie Panie, interesujące się rękodzielnictwem, prosimy o zapamiętanie daty trwania naszej

„WYSTAWY = KIERMASZU“

od 1 grudnia 1934 r. do 1 stycznia 1935 r.

dla prenumeratorek pisma „Ja to zrobię“ wejście bezpłatne.

Same zrobimy zabawki przy pomocy następujących książeczek, ozdobnie wydanych, zawierających wzory zabawek

	Ozdoby choinkowe	Zł. 1.00
	Własnej roboty naj- milsze zabawki	„ 1.00
	Ruchome figurki własnej roboty	„ 1.00
	Zabawki choinkowe	„ 0,80
	Zabawki z pudełek	„ 1.00
	Domowy warsztat młodzieży	„ 1.50
	Wzory ozdób choinkowych	„ 4.00

Wszystkie te książeczki nabyć można w Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Warszawa, Solec 87 i Świętokrzyska 17 oraz we wszystkich księgarniach i kioskach „Ruchu”. Konto P. K. O. 12.200.

Najmilszy Podarek Gwiazdkowy dla każdej Pani

To kwit z opłaconej rocznej prenumeraty
na dwutygodnik ilustrowany

„URODA”

HIGJENA, KULTURA,
KOSMETYKA, MODA,
SZTUKA, TEATR,
FILM, NOWELA,

WIELOBARWNE ILUSTRACJE

Prenumerata roczna tylko
zł. 12, konto P.K.O. 7353
Adm. Warszawa, Solec 87
telef.: 2,44-18 i 5,87-03.

**Każda
przezorna
Pani domu
myśli już teraz
o
zorgani-
zowaniu
Świąt
Bożego
Narodzenia**

Wydawnictwo „Życie Praktyczne”
poświęcone sprawom gospodarstwa
domowego, poleca książki p. t.

Potrawy wigilijne
Potrawy z ryb
Potrawy z cielęciny
Potrawy z wołowiny
Drób i sposoby przyrządzania
Przystawki gorące
Zimne przekąski
Torty domowe
Nalewki i likiery
Zimne napoje
Jak odróżnić towar dobry od złego
(owoce i jarzyny)
Jak odróżnić towar dobry od złego
(mięso i ryby)

Cena każdej książeczki 1 zł. z przesyłką pocztową 1 zł. 30 gr.

Do nabycia w Tow. Wyd. „BLUSZCZ”, Warszawa, Solec, 87, i Świętokrzyska 17. m. 3.
Konto P. K. O. 12.200.